



IRENA DOWGIELEWICZ LAUREATKA
NAGRODY NASZEGO PISMA

Kombatanckie drogi Jasień - nie musi być nudno SCENY MIŁOSNE

FELIETONY

CZYTELNIA

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 36 650

małodołrze

ZIELONA GÓRA 5 X 1986 — 18 X 1986 R.
ROK XXX NR 20 [625] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Dwie konferencje wojewódzkie

Społeczne oczekiwanie silnej partii

Gorzowskie i zielonogórskie, to dwa różne o zindywidualizowanych obliczach województwa. W Gorzowskim jest Stilon, Ursus, Celuloza, w Zielonogórskim Zastal, Dozamet, gama różnych zakładów przemysłowych z elektroniką, produkcją elementów obsługi energetyki jądrowej włącznie. Ten przemysł rozłożony jest dość równomiernie na obszarze całego województwa. Różny też jest stopień zurbanizowania obu województw. I różna jest też skala eksportu.

W obu województwach podobne są struktury rolne i takie same kwestie związane z dalszym rozwojem tych ważnych dziedzin gospodarki narodowej. Oba województwa mogą tym samym głosem mówić o sytuacji na terenach przygranicznych. Gubin i Słubice mają takie same kłopoty.

Po 1980 roku inaczej ukształtowały się potencjały anarchosyndykalistycznej ekstremy prawicowej. W Zielonogórskim skompromitowała się ona aranzacją bezsensownego strajku wokół Lubogóry, skazując się na stały pobyt w lamusie historii. W Gorzowskim stara się zachowywać choćby pozory obecności.

Gorzowskie jest województwem młodym, z wtórną integracją, zbieraniem doświadczeń, dopracowywaniem tożsamości. Zielonogórskie jest województwem dojrzałym. Jego obszar po ostatniej reformie administracyjnej wzbogacony został jedynie o Wolsztyńskie z jego cennym doświadczeniem rolniczym i obywatelskim. Zielonogórskie ma swoje tradycje, sprecyzowaną strategię rozwoju, potencjał kulturalny, intelektuálny, siłę płynącą z doświadczenia i samowiedzy aktywności partyjnej.

Chociaż Polska jest jedna a w niej dwa nadodrzańskie województwa współtworzące jej oblicze, kampania przedzjazdowa, również konferencje wojewódzkie po X Zjeździe a cel ich ten sam — wybór nowych władz partyjnych, różnie przebiegały.

Myślą przewodnią referatu Zbigniewa Niemińskiego, I sekretarza KW PZPR w Zielonej Górze (XIX Konferencja odbyła się 16 września br) było zastanowienie nad stanem wojewódzkiej organizacji partyjnej, społeczne oczekiwanie, wzrost jej siły, umiejętności sprawowania kierowniczej roli w procesie budowania socjalizmu. Siła partii wynika z szerokiego związku ze społeczeństwem, w aprobatę mas dla stawianych celów, uczestnictwie społeczeństwa w ich realizacji. Partia musi posiadać umiejętność prowadzenia otwartego dialogu ze wszystkimi, którzy chcą służyć pomysłom Polski.

W dialogu tym społeczeństwo jest równorzędnym partnerem. Oto jedna z zasadniczych tez referatu Wiktora Klineckiego, I sekretarza KW PZPR w Gorzowie (VI Konferencja odbyła się w dniu 17 września 1986 r.). „Za jeden z najważniejszych celów uznano wewnętrzne umocnienie naszej wojewódzkiej organizacji. Tylko spójne, ideowo zwarte ognia partyjne mogły sprostać trudnym i ambitnym zamierzeniom. Należało przełamywać postawy bierności, nacechowane nieufnością i wątpliwościami, wygodnictwem i zachowawczością. Będziemy nadal wspierać i premiować aktywne i nieobojętne, pokazywać i upowszechniać przykłady twórczych zachowań. Winny one cechować przede wszystkim nas — komunistów, na których spoczywa obowiązek nie tylko kierowania, ale przede wszystkim przodowania w środowiskach pracy i działania. W ub. r. zatrzymany został proces spadku liczby członków wojewódzkiej organizacji partyjnej. Obecnie liczy ona 27 tysięcy członków i kandydatów. Musimy nadal umacniać klasowy charakter naszych organizacji, ich robotniczo — chłopski trzon, jako że w minionym okresie, nastąpiły w tym względzie niekorzystne przeobrażenia, choć robotnicy i chłopstwo nadal ponad 50 procent członków naszej wojewódzkiej organizacji.”

Referat Zbigniewa Niemińskiego na dał ton całej dyskusji, która wzbogaciła obrady o szereg egzemplifikacji. Dyskusja była momentami ilustracją ogólniejszego zjawiska: koncepcje przedstawiane do rozważenia, wypracowane przez gremia kierownicze, są otwarte, społecznie nośne, często też odważne, wybiegające w przód, są odpowiedzią na wyzwania rzeczywistości. Z różnych, ale wielu przyczyn, koncepcje te, wyrażane też w formie uchwały zobowiązującej do określonego działania, na ogół nie mają pełnego odbioru, lub tylko formalnie, wśród adresatów — instancji niższego stopnia, aktywności partyjnej. „Dół” nie nadąża z odbiorem inspiracji płynącej z góry. Jak przerwać grę w słowa? Pytanie dotyczy też zniekształceń informacji płynącej z „dółu” do „góry”. Deformacja taka też jest niebezpieczna. Powoduje bowiem zamazanie prawdziwych nastrojów społecznych, rozpoznanie potencjalnych konfliktów.

W Zielonej Górze i Gorzowie podawano jeden, ten sam przykład: zaopatrzenie ludności, w tym też producentów żywności w węgiel. Zakłócenia komunikacji są w istocie potencjalnym zagrożeniem dla prawidłowego funkcjonowania zasad centralizmu demokratycznego, szansą nawrotu do swoistego neobonapartyzmu. Gdyby z tym zjawiskiem nie toczyć walki, znacząco to rezygnację z wielkiego dorobku demokratyzacji partii po 1980 roku.

Na obydwu konferencjach uczestnicy dyskusji, referenci, pierwsi sekretarze komitetów wojewódzkich zwracali uwagę na konieczność doskonalenia stylu pracy partyjnej, zwłaszcza na samym dole, wśród członków PZPR, oddziałowych i podstawowych organizacji. Zmiana stylu oznacza taką działalność, która ma aprobatę wśród bezpartyjnych, zwłaszcza młodego pokolenia Polaków. I nie idzie tu o takie kształtowanie młodego pokolenia, aby było ono na wzór i podobieństwo pokolenia starszego, a o to aby talenty, aspiracje, indywidualność znalazły swoje miejsce w wielkim procesie budowania socjalizmu.

Umocnienie podstawowych organizacji partyjnych, podniesienie ich rangi w środowisku, jest wskazaniem kierunku przeciwdziałania niedrożnościom zasad centralizmu demokratycznego. W referacie Z. Niemińskiego zawarto także stwierdzenie: Musimy samokrytycznie stwierdzić, że sporo organizacji partyjnych, a także niektóre instancje pracu-

Fot.: BRONISŁAW BUGIEL
Wojciech Jaruzelski w kulturalnych PZPR w Zielonej Górze



Nie klasy posiadające oraz ich sprzymierzeńcy wyciągali Polskę z topieli. I nie siły reakcyjnej prawicy sprawiły, że wróciliśmy tu, nad Odrę i Nysę Łużycką. Tylko partia klasy robotniczej, siły polskiej lewicy potrafiły pogrzebać waśń z narodami radzieckimi, zawrzeć trwały, niezawodny sojusz z socjalistycznym mocarstwem, wykuć przyjaźń i braterskie stosunki ze wszystkimi sąsiadami. Socjalistyczny system społeczny umożliwił polszczyźnie, w tym również polskiemu katolicyzmowi, zapuszczenie głębokich korzeni na utraconej przed wiekami ziemi praojców.

Te prawdy trzeba głosić dobitnie w obliczu recydywy wstecznych złudzeń i mitów.

Stąd, z zachodnich rubież Rzeczypospolitej, widać najlepiej, jak tworczą rolę w dziejach naszego narodu i państwa odgrywa socjalizm. Zatrzymam się na jednym tylko przykładzie.

Wielkopole, Pomoranie, Śląscy starszego pokolenia dobrze jeszcze pamiętają, czym było pogranicze polsko-niemieckie przed 1939 rokiem. Pruscy szowiniści nazwali je „die brennende Grenze” — płonąca granica. W międzywojennych Niemczech wrogość wobec Polski była stałym elementem składowym polityki. Rejony pograniczne i tzw. obszary plebisytowe jako pierwsze znalazły przedsmak szowinistycznej agresji, prowokacji i terroru.

To rozdział zamknięty na zawsze. Ziemia Lubuska dziedzicząca tradycje okresu Piastów głogowsko-żagańskich, rozkwitu w epoce jagiellońskiej, dwóch wieków nieustannej walki patriotów

Babimojszczyzn, w pełni zintegrowała się z macierzą. Dziś niedaleko Zielonej Góry przebiega granica między Polską Rzeczpospolitą Ludową i Niemiecką Republiką Demokratyczną. Granica pokoju i spokoju, przyjaźni i współpracy, łącząca dwa socjalistyczne państwa. To wielka zdobycz naszych narodów, a zarazem — jeden z głównych czynników europejskiego ładu pokojowego, po uczający przykład przezwyciężania historycznej nawastrawności urazów i nieufności.

Rozwijają się pomyślnie przyjacielskie kontakty...

Dużą wagę przywiązujemy do współdziałania regionów przygranicznych. Województwo zielonogórskie zgromadziło wiele interesujących doświadczeń, rozwijając szeroką współpracę z bratnim okręgiem Cottbus. Szczególnie znaczenie ma bezpośrednia więź 62 przedsiębiorstw współpracujących ze sobą poprzez wymianę brigad pracowniczych, rozwiązań technicznych, technologicznych i organizacyjnych oraz doświadczeń w działalności politycznej, społecznej, socjalnej. Pomyślnie rozwija się również przygraniczna wymiana handlowa, która w ubiegłym roku osiągnęła wartość 145 mln zł. Polityczne, ideowo-

wychowawcze i materialne walory tego procesu przemawiają za dalszym jego rozszerzeniem.

Uważamy, że podobnie jak czynią to PRL i NRD, inne kraje socjalistyczne, również Republika Federalna Niemiec mogłaby wiele zdziałać dla dobra całej Europy, dla światowego pokoju. Wielokrotnie dawaliśmy temu wyraz.

Niestety, niektórym politykom tego kraju weszło już w zwyczaj posługiwanie się rozdwójnym językiem. Można niekiedy odnieść wrażenie, że rozpisano tam rolę. Obok rzeczników porozumienia działają nadal dyżurni odwetowcy, którzy nie pominią żadnej okazji, aby podważać prawomocność nieodwracalności granicy na Odrze i Nysie. Są to typowe rachunki bez gospodarza.

Jesteśmy zainteresowani rozszerzeniem dialogu i wzajemnie korzystnej współpracy z RFN. Właściwy kształt stosunków Polski z obu państwami nie miekimi jest jedną z kluczowych przesłanek stabilizacji na naszym kontynencie.

Deklarujemy raz jeszcze gotowość szerokiej, równoprawnej współpracy ze wszystkimi państwami, we wszystkich dziedzinach stosunków międzynarodowych. Polska Ludowa jest i chce być krajem otwartym, partnerskim, gotowym do rozumnych kompromisów tam, gdzie jest to ogólnie korzystne. A nieustępliwym tylko wtedy, gdy w grę wchodzi interes socjalistycznego państwa oraz dobro i godność naszego narodu.

**Z przemówienia Wojciecha Jaruzelskiego
na Wojewódzkiej Konferencji PZPR
w Zielonej Górze**

Opinie i refleksje

Czas zatrzymany nie na próżno

W czwartek 19 września 1986 roku w reprezentacyjnym gmachu stolicy Szwecji przy ulicy Sergelstorg, stanęły nagle wszystkie zegary. Zatrzymany czas miał symbolizować przedłużenie ostatniego dnia konferencji, która trwała już od prawie trzech lat. Był to dzień pełen oczekiwań i nadziei. Ale ich spełnienie nastąpiło dopiero po trzech wschodach i zachodach słońca.

Być może w natłoku wydarzeń współczesnego świata, ten wrześniowy wtorek — 22 z kolei dzień miesiąca, szybko zatrze się w pamięci. Pewnie jest jednak, że zostanie zapisany na trwałe w historii walki o pokój na świecie. Walki z groźbą atomowej zagłady.

Kiedy dokument końcowy konferencji sztokholmskiej został podczas sesji plenarnej odczytany i uroczystie przyjęty, w pięknej, wykładanej sosnowym drewnem sali — jak to formułował jeden z zagranicznych sprawozdawców — powiało optymizmem. Ogromna większość spośród przedstawicieli 35 państw, odetchnęła z ulgą. Ruszyły wskazówki zegarów, a wraz z nim dalekopisy, aby przekazać światu dobre wiadomości.

Dokument sztokholmski jest efektem 32-miesięcznych obrad międzynarodowego forum. Osiągnięty został po niezwykle trudnych, burzliwych a niekiedy wręcz dramatycznych debatach ogólnych i dyskusjach w mniejszych grupach. Sprawozdawcy byli zgodni co do tego, że w miarę, jak zbliżał się planowany termin zakończenia konferencji, dźwięczała zrazu słabo, potem wyraźniej, optymistyczna nutka nadziei na porozumienie. Mimo to jeszcze w ostatnich dniach, ba, w ostatnich godzinach poprzedzających podpisanie aktu, pozostawały i uparcie powracały w różnych wersjach dwie kwestie sporne, nazywane umownie „problemem samolotowym” i „parametrami liczbowymi” lub „pulsem liczbowym”.

O co chodziło w tym porozumieniu, uzyskanym z tak wielkim trudem a na całym świecie powitany z wielkim zadowoleniem? Konferencja w Sztokholmie miała za cel, jak wiadomo, „budowę środków zaufania i bezpieczeństwa oraz rozbrojenia w Europie”. Treść dokumentu końcowego wykracza poza postanowienia z Helsinek. Do znanych wcześniej zobowiązań — jak nie uciekanie się do użycia siły, doszły inne, dotyczące wymiany informacji o wszelkich formach działalności wojskowej organizowanej przez państwa na ich własnych terytoriach. Tak więc, po czwarty od 1 stycznia 1987 roku, państwa organizujące u siebie manewry bądź też przegrupowania wojsk z udziałem powyżej 13 tysięcy żołnierzy, musi o fakcie tym powiadomić wszystkie inne państwa w terminie 42 dni przed rozpoczęciem akcji. Wszelkie ruchy wojsk z udziałem ponad 17 tysięcy żołnierzy, muszą być zapraszani obserwatorzy cywilni i wojskowi z innych państw. Ponadto państwa obowiązane są do przyjmowania co roku inspekcji wojskowych z bloku przeciwnego oraz do tzw. wymiany kalendarzy, w ramach której o wszelkiej działalności wojskowej z udziałem ponad 40 tys. żołnierzy należy informować na dwa lata z góry.

Deklaracja sztokholmska jest bardzo obszerna i trudno scharakteryzować ją w paru zdaniach. Ważne jest to, że w systemie informacji i kontroli między państwami obu przeciwnych bloków, niespodziewany wybuch wojny jest w zasadzie mało możliwy. Konferencja w Sztokholmie jest pierwszą, od Madrytu, która zakończyła się zgodnie, osiągając konkretne postanowienia. Także jest to pierwsze porozumienie, jakie udało się wynegocjować między Wschodem a Zachodem w ciągu dziesięciu lat. Jest to również pierwsze, realne, namacalne i usankcjonowane przejawy poprawy sytuacji międzynarodowej w ostatnim okresie.

Sukces konferencji sztokholmskiej oceniamy jako wielki krok w kierunku pokoju na naszym globie, ostatnio tak pełnym wszelakich zagrożeń na wszystkich kontynentach. Fakt ten z pewnością nie pozostanie bez wpływu na nastroje spotkania Reagan — Gorbaczow, planowanego na początek listopada br.

Pozostaje jeszcze dodać, że w trakcie rokowań sztokholmskich delegacja polska odznaczała się aktywnością i parokrotnie umiała znajdować propozycje kompromisowe, zadowalające obie strony. Europa może teraz żyć bezpiecznie. Czas na sztokholmskich zegarach został zatrzymany nie na próżno.

MARIAN SKARBEK

Z nowym rokiem akademickim

MŁODZI WSPÓŁTWÓRCY LUBUSKIEJ HUMANISTYKI

Jest ich coraz liczniejsza rzesza. Są wśród nich: historycy, socjologowie, politolodzy, filozofowie, słowem humaniści. W obu uczelniach Zielonej Góry realizują swoje cele naukowe, wypełniają codzienne obowiązki nauczycieli akademickich.

W złożonej sytuacji społeczno-gospodarczej kraju, nauce a zwłaszcza szkolnictwu wyższemu przypadają dziś zadania szczególnej wagi. To właśnie naukowcy, jako ludzie tworzący nowocześnie, swoimi działaniami kształtują postawy racjonalizmu i postępu.

Właściwa twórczość naukowa wraz z licznymi społecznymi i politycznymi służąc winna przede wszystkim krytycyzmowi w stosunku do wszelkich nieprawidłowości we własnym środowisku i w życiu szkoły wyższej. Lecz jest to tylko jedna strona medalu. Ta druga, to imperatyw ciągłego poszukiwania, doskonalenia swoich zainteresowań badawczych, dydaktycznych i społecznych. Znajomość środowiska studentów wy-

datnie wspomaga umiejętność analizy krytycznej.

Wielu młodych magistrów i doktorów działało w okresie studiów w organizacjach studenckiej i partyjnej. Spory to niewątpliwie atut, zważywszy, że teraz mogą w obrębie uczelni z du-

Z REGIONU

żną swobodą pracować z młodzieżą akademicką, wyzwalając ich możliwości naukowe i społeczno-polityczne. Myślę, że potrzebna jest im atmosfera rzetelnej pracy, atmosfera, w której nadrzędnym celem staje się wszechstronny rozwój osobowości zarówno młodego naukowca, jak i studenta. Z racji prowadzonych ćwiczeń mają wielki wpływ na właściwą realizację procesu dydaktycznego oraz kształtowanie obywatelskich i patriotycznych postaw studentów.

Powyższe uwagi korespondują ściśle z młodą generacją pracowników nauki w Zielonej Górze. Otóż skrótuwa z konieczności topografia naukowej i społeczno-politycznej aktywności młodych zielonogórskich humanistów.

Zainteresowania badawcze dr Grażyny Kosiorowskiej-Wróblewskiej — adiunkta w Instytucie Nauk Społeczno-Politycznych WSP dotyczą historii stosunków polsko-brytyjskich. Doktoryzowała się z tematu „Stosunki polsko-brytyjskie w latach 1944—1947”. Promotor jej pracy prof. dr hab. Czesław Mojsiewicz z UAM w Poznaniu pozostaje nadal jej opiekunem naukowym.

Na UAM w Poznaniu doktoryzował się Wojciech Peltz — pracownik Instytutu Historii WSP. Obiektem naukowej penetracji W. Peltza są głównie dzieje Rosji i Związku Radzieckiego. Dysser-

tację doktorską obronił z tematu „Myśl społeczno-polityczna w dobie oświecenia rosyjskiego”.

Na Wydziale Pedagogicznym WSP pracuje dr Leszek Godyka, który przez wiele lat uczestniczył w działalności zielonogórskich „Makusynów” — śmiem twierdzić najlepszego szczepu harcerskiego w kraju. Szczepem tym kierował człowiek niecodzienny, fanatyk historii i nie mniej fanatyczny jej popularyzator — Zbigniew Czarnuch. Godyka jest absolwentem socjologii Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Jego badania naukowe dotyczą m.in. socjologii miasta i socjologii kultury. Współpracuje z „Nauodrzem”, gdzie opublikował kilkadziesiąt conajmniej recenzji książek z zakresu tematyki socjologicznej, filozoficznej i politycznej. Jest także autorem kilkunastu artykułów naukowych, które zostały opublikowane m.in. w „Przeglądzie Socjologicznym”, „Roczniku Lubuskim”, „Przeglądzie Lubuskim”, „Studiach Socjologicznych” i „Zeszytach Naukowych WSP”.

W Instytucie Historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej pracują dr Jan Andrykiewicz i mgr Stanisław Lechowski. Są absolwentami tej uczelni. Należeli do grona najzdolniejszych studentów i aktywistów Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. Obaj pod kierunkiem prof. dr hab. Hieronima Szczególnego napisali prace doktorskie na temat ruchu młodzieżowego. Zainteresowania badawcze Andrykiewicza pozostają w ścisłym związku z problematyką młodzieży wiejskiej. Przygotował on rozprawę doktorską na temat narodzin Związku Młodzieży Wiejskiej w Polsce. Lechowski kontynuuje badania związane z historią Związku Młodzieży Socjalistycznej w Polsce. Wraz z nią podpisany są członkami zespołu badawczego zajmującego się resortowymi badaniami nad kulturą polityczną mło-

dzieży. Ich pomoc w pracy kół historii i politologów przyczyniła się do wielu ogólnopolskich sukcesów studentów historii WSP.

W Instytucie Nauk Społeczno-Ekonomicznych WSP pracuje mgr Mieczysław Lapanowski — absolwent historii WSP, laureat Konkursu Kopernikowskiego i działacz ZSP. Pracę magisterską napisał pod kierunkiem prof. dr hab. M. Eckerta z tematu „Polityka morska II Rzeczypospolitej”.

W Zakładzie Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej WSP pracuje Andrzej Buck. Praca magisterska „Jednostki i koncepcje militarna w kręgu barokowej koncepcji człowieka” pisał pod kierunkiem doc. dr hab. Władysława Magnuszewskiego. Zasiłkuje na uwagę interdyscyplinarny charakter tej pracy. A. Buck prowadzi obecnie badania nad kulturą literacką młodych i prasą studentką. Zajmuje się także problemami literatury współczesnej oraz teorią i praktyką nauczania wiedzy o kulturze literackiej. Współpracował z ruchem studenckim oraz przez kilka lat był rektorem naczelnym studenckiego pisma „Faktor”.

W Zakładzie Filozofii i Socjologii INSP WSP pracował Andrzej Zembaty. Miał zaawansowaną pracę doktorską dotyczącą roli rad narodowych w systemie polityczno-administracyjnym PRL. Na podkreślenie zasługuje także jego współpraca ze Studenckim Księciem Instrukcyjnym w WSP i Radą Chorągwi ZHP w Zielonej Górze. Przedwcześnie śmierć wyrwała go z grona młodych naukowców WSP.

Młodzi humaniści obu zielonogórskich uczelni coraz wyraźniej zaznaczają swoją obecność w życiu politycznym, społecznym i naukowym regionu. Wnoszą cenny wkład w jego życie intelektualne, współtworzą model nauki zaangażowanej.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Za ODRĄ

Święto naszych przyjaciół

Tegoroczne święto 37-lecia Niemieckiej Republiki Demokratycznej przypadające 7 października, odbywa się pod znakiem realizacji uchwał XI Zjazdu NSPJ, które nakreśliły szeroką panoramę dalszego rozwoju kraju. Dotyczy to wszystkich dziedzin gospodarki narodowej, także sfery oświaty, kultury, ochrony zdrowia i w ogóle szeroko pojętej socjalnej działalności państwa i terenowych organów władzy. Prasa NRD podkreśla, że właśnie te ostatnie mają do spełnienia wybitną rolę w związku z uchwaloną niedawno przez Izbę Ludową nową ustawą o prawach i obowiązkach terenowych organów władzy ludowej.

Ustawa ta stać się ma ważnym czynnikiem uaktywnienia uczestnictwa społeczeństwa w procesie planowania i kierowania gospodarką narodową. Terenowe ośrodki władzy mają efektywnie włączyć się do kierowania znajdującymi się na ich terenie kombinatami, zakładami przemysłowymi, ośrodkami produkcji rolnej i przyczyniać się do wdrażania postępu naukowo-technicznego w swoim regionie. Ponadto problematyka edukacji i rozwoju kultury ma obecnie również znajdować się w centrum uwagi terenowych organów władzy i administracji państwowej.

(h)

Nowy przedmiot

w szkołach średnich: podstawy filozofii

Jak informuje gazeta „Neues Deutschland”, od nowego roku w 9 i 10 klasach ogólnokształcących i politechnicznych szkół średnich w NRD zostanie wprowadzony nowy przedmiot nadobowiązkowy pod nazwą „Wprowadzenie do podstawowych zagadnień filozofii marksistowsko-leninowskiej”.

W programie tego przedmiotu, obejmującym 60 godzin rocznie, znalazły się m.in. takie tematy jak: „Czy możemy poznać i zmienić świat?”, „Czym jest prawda?”, „Jakie ideały są dla mnie ważne?”, „Czego mogę oczekiwać od naszego socjalistycznego społeczeństwa?”, „Czego żąda ono ode mnie?”. Pomocą w prowadzeniu zajęć ma być specjalny podręcznik filozofii marksistowskiej dla młodzieży pióra Ericha Hahna i Alfreda Kosinga.

„Zadaniem pedagogów jest umożliwienie uczniom zrozumienia istoty różnorodnych procesów przyrodniczych i społecznych oraz związków między nimi, samodzielnego znalezienia odpowiedzi na podstawowe pytania naszych czasów i na pytania, które nurtują młodzież. Punktem ciężkości wykładu jest wyraźne ukazanie materialistycznego i dialektycznego charakteru naszego świa-

topoglądu, a także opierającej się na nim polityki NSPJ, walczącej o utrzymanie i zabezpieczenie pokoju oraz o dalszy pomyślny rozwój społeczeństwa socjalistycznego” — pisze „Neues Deutschland”.

(x)

Uprawnienia młodzieży

„Ustawa o Młodzieży” uchwalona przez Izbę Ludową NRD 28 stycznia 1974 r. głosi m.in.: „Zarządy Związku Wolnej Młodzieży Niemieckiej (FDJ) mają prawo przedkładać terenowym przedstawicielom i organom władzy państwowej oraz administracji gospodarczej, kierownictwom i zarządom wszystkich instytucji i przedsiębiorstw — projektów uchwał i decyzji w dziedzinie polityki młodzieżowej. Mają one także prawo przedkładać propozycje zmierzających do zwiększenia udziału młodego pokolenia w przygotowaniu za sadniczych uchwał i postanowień, mających decydujący wpływ na życie młodej młodzieży.

Zgodnie z tymi wytycznymi, wszystkie ogniska administracji państwowej i gospodarczej, zobowiązane są do opracowywania a następnie realizowania tzw. programów popierania młodzieży. Ustawa nakłada mianowicie na instytucje państwowe obowiązek udzielania pomocy młodzieży przy budowie i modernizacji mieszkań, przyznawania kredytów młodym małżeństwom oraz do częściowego finansowania działalności kulturalnej, sportowej i turystycznej, podejmowanej przez młodzież.

(h)

Bolek i Lolek

Popularny serial rysunkowy dla dzieci produkcji Studia Miniatur Filmowych w Bielsku-Białej, który zrobił karierę w Polsce — wyświetlany jest obecnie na ekranach kin Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Jako dodatek do filmów fabularnych. Aktualnie prezentowany tam jest odcinek zatytułowany „Bolek i Lolek na Dzikim Zachodzie”. Po emisji w kinach serial ten pokazany będzie przez telewizję NRD, w programach dla dzieci.

Jak informuje prasa Niemieckiej Republiki Demokratycznej zawarte już zostały nowe kontrakty z polską wytwórnią Miniatur Filmowych „Semafor” na dostawę filmów rysunkowych. W pierwszej kolejności zostanie zakupiony 13-odcinkowy serial o przygodach przemysłowego wróbelka.

(h)

NRD domaga się odszkodowań

Korespondent REUTERSa w Berlinie powołując się na rzecznika MSZ NRD pisze, że Niemiecka Republika Demokratyczna będzie domagać się od władz Berlina Zachodniego odszkodowania za straty, jakie poniosła na granicy z tym miastem w dniu 13 sierpnia br. gdy — jak pisze agencja — mieszkańcy Berlina Zachodniego „zagrozili fizycznie żołnierzom ochrony pogranicza NRD, opalali ich i rzucali w nich kamieniami”. „To była prowokacja. Senat Berlina Zachodniego ponosi odpowiedzialność za szkody wyrządzone w czasie akcji protestacyjnych, NRD będzie domagać

się w związku z tym rekompensaty finansowej” — cytuje REUTER czecznika MSZ NRD. Agencja przypomina, że NRD wystąpiła już pod adresem władz Berlina Zachodniego z żądaniem wypłaty odszkodowania po atakach na jej instalacje graniczne w pierwszej dekadzie bm. Wówczas to podłożono bombę pod mur graniczny, której wybuch spowodował powstanie pożaru. Były też kilkakrotnie próby wdrapania się na mur. Policja zachodniobermberska poinformowała, że aresztowała jednego mężczyznę, który rzucił kamieniami w żołnierzy ochrony pogranicza NRD, a inni, którzy przez mur rzucali puszki po konserwach, jest przesłuchiwany na tę okoliczność.

(x)

Za ŁABĄ

Strzelec wyborowi

„Maggie otwiera ogień na Rosję” — pod takim tytułem wielokonkładowy brytyjski dziennik „Daily Mirror” z 18 września zrealizował „turniej strzelecki”, do którego doszło podczas wizyty premier Margaret Thatcher w brytyjskiej jednostce pancerniej stacjonującej w RFN. Partnerem pani premier był kanclerz RFN — Helmut Kohl. M. Thatcher strzelała z działa brytyjskiego czołgu Challenger, kanclerz RFN zaś z zachodniemieckiego Leoparda. Cel stanowiła ustawiona w odległości 1500 m makieta czołgu radzieckiego. Za liczone 2 trafienia. Fotografii M. Thatcher w wieżyczce czołgu zamieściła nie mała prasa londyńska. Nakierowując działą na stronę Rosji i otwierając ogień M. Thatcher promieniła radością — pisze „Daily Mirror” i podkreśla, że wydarzenie to miało miejsce 36 mil od granicy NRD, zaś „Daily Express”, który na swojej fotografii ukazał również uśmiechniętego kanclerza Kohla stwierdził, że tym uśmiechem wyraził on swą aprobatę.

(x)

Niepożądany spadek

Tak określił zachodniemiecki tygodnik „Der Spiegel” specyficzną kolekcję malarstwa powstałą w okresie ubiegłej wojny na zamówienie władz III Rzeszy. Chodzi o 6.500 obrazów, określonych przez „Spiegel” jako kicz. Cała kolekcja skonfiskowana została w 1946 r. przez armię amerykańską i zgod nie z obowiązującymi podówczas nakazami denazyfikacji przewieziona do USA. Sporo lat temu „kolonizmi miłośników marynistyki”, który prowadzi prywatny Historyczny Instytut Marynarki, udało się wydobyc z tej kolekcji i włączyć do swych zbiorów kilka obrazów marynistycznych malarza Klausa Bergena, przedstawiających wojnę morską. Celem wydania obrazów ówczesny prezydent USA Carter musiał podpisać specjalny akt prawny. Wystawa tych „dzieł” została otwarta w 1982 r. w Bremerhaven. Od tego czasu określone kolekcje w RFN nie zostały w staraniach odzyskania reszty obrazów. Te obrazy i rysunki były wytworem specjalnego od działu popieranego osobiście przez Hitlera i jego najbliższych współpracow-

ników. 150-osobowa grupa artystów powstała przy Naczelnym Dowództwie Armii Hitlerowskiej w 1942 r. jako część aparatu propagandy nazistowskiej i pomysłana była jako instrument głoszenia podczas i po wojnie chwały niemieckich czynów zbrojnych. Kilka tygodni temu obrazy, częściowo nawet odrestaurowane powróciły do RFN i zostały złożone w magazynie Bawarskiego Muzeum Armii w Ingolstadt. To rozwiązanie — zdaniem bońskiego Ministra Spraw Zagranicznych — jest zarówno zgodne z interesami historyków, jak i malarzy i ich potomków, i w niczym nie narusza układu z Poczdamu, na którego podstawie nastąpiła swego czasu konfiskata. Innego zdania jest „Der Spiegel” wskazując, że pojawiające się masowo kicz z czasów wojny są bardzo poszukiwane przez „pewną kategorię zbieraczy” i mogłyby być sprzedane za duże pieniądze. Spadkobiercy niektórych malarzy hitlerowskich zapowiadali już procesy o zwrot tych „dzieł”.

(tema)

Mniej znaczków

rewizjonistycznych?

Rada Programowa poczty zachodniemieckiej na posiedzeniu 10 i 11 grudnia 1985 r., ustalając zestaw znaczków okolicznościowych na rok 1987 zaproponowała ministerstwu poczty 17 tematów. Propozycje Rady nie są wiążące dla ministra, ale minister Schwarz-Schilling zaakceptował je. Do programu znaczków okolicznościowych nie włączono, już po raz drugi, wniosku Ziemokostwa Niemców Sudeckich, by wydać serię ze sztychami, przedstawiającymi „miasta leżące na obszarach wypędzenia”. W 1986 r. na 36 pojedynczych znaczkach i seriach okolicznościowych (łącznie 53 znaczki), nie było ani jednego motywu rewizjonistycznego. Na rok 1987 zaplanowano „przynajmniej”, jak pisze „Volksbote” — uciecnie 300 rocznicy urodzin Balthasara Neumanna i 125 rocznicy urodzin Gerharta Hauptmanna.

(x)

Intensywna współpraca

wojskowa RFN - Izrael

To, co uchodziło dotychczas za tabu w stosunkach RFN — Izrael, staje się faktem. Chodzi o zacieśnianie współpracy wojskowej między obu państwami. Po raz pierwszy w historii RFN przybył z oficjalną wizytą do Izraela na zaproszenie swego izraelskiego kolegi boński minister obrony Manfred Woerner. Z relacji zachodniemieckich (m.in. „Frankfurter Allgemeine Zeitung”) wynika, że inicjatywa zacieśnienia tej współpracy i nadania jej form oficjalnych wyszła od Izraela. Dla Bonn, choćby ze względu na konflikt izraelsko-arabski, wychodzenie z całą sprawą na zewnątrz jest krępujące. Tymczasem Izrael pragnie intensyfikacji w dziedzinie zbrojeniowej, proponując różne formy kooperacji w produkcji broni. Minister obrony Rabin określił wizytę Woernera jako step milowy w stosunkach między państwami. Wskazał na to, że w kierunku rozwoju stosunków między Republiką Federalną a Izraelem.

(x)

Już we wczesnej biografii Ireny Dowgielewicz, urodzonej w 1921 roku w Kijowie, można odnaleźć ślady zainteresowań literackich. Rozpoczęła, jak wielu dziś uznanych prozaików, od poezji. W 1934 roku zdobyła pierwszą nagrodę w konkursie poetyckim czasopisma „Nasze prace”, publikowała swoje utwory w „Kuzni Młodych”, prowadziła także dział krytyki radiowej w „Słowie Pomorskim”. Zatem od jej debiutu prasowego minęło półwiecze.

Biografia poetki i autorki znakomitych form prozatorskich, zamieszkałej od wielu lat w Gorzowie, jest skomplikowana i trudna, podobna do losów wielu Polaków, którzy przeżyli czas wojny. Jeszcze przed jej nadejściem Irena Dowgielewicz ukończyła gimnazjum humanistyczne, następnie studiowała architekturę, jednocześnie pracując na kolonii Towarzystwa Osiedli Robotniczych w Warszawie. Podczas okupacji pisarka pracowała jako robotnica w firmie Franciszka Kurzela na Woli, następnie — w firmie budowlanej Jana Przybylskiego w Warszawie. Po zakończeniu wojny przez trzy lata była dyrektorem Fabryki Mebli w Witnicy, potem pracowała w Zjednoczeniu, pełniąc różne funkcje. Od 1960 roku zajmuje się wyłącznie pracą literacką.

Okres gorzowski w jej życiu zaowocował wieloma wartościowymi osiągnięciami literackimi. Zarówno w poezji, jak i w prozie. Dziś, z perspektywy minionych

na, że jest to debiut dojrzały i nieprzeciętny. Zawarte w tomie opowiadania, zważywszy na ich wiek, są autentyczne w swej prawdzie ukazania skomplikowanych spraw codziennego życia, trapiącej jakąś bezpośredniością i szczerością wypowiedzi pisarskiej. Nie ma tu pożytku, minodologii, kreacji na wyrost, zbędnych sekwencji i nieuzasadnionych ornamentów. Nie ma epatowania „literackością” języka, nie ma wreszcie modnych do dziś

czernią, aż chciałoby się powiedzieć — trudnego optymizmu. Optymizm ten wynika z podtekstu opowiadań, zawiera się w nich implícite. Wynika z dojrzałego, czasem nawet ironicznego nieco dystansu autorki do ukazanych postaci i ich spraw. Tkwi w tym niełatwym optymizmie jakieś ogromne przeświadczenie o ostatecznej wartości życia, jego blasku. Przekonanie, że ostatecznie warto i należy żyć. Ot, chociażby dla tak błahych spraw, jaką jest lepszy obiad, podany dzisiaj, który oznacza: smaczniejszy, bardziej kaloryczny, wartościowszy. W tym ostatnim opowiadaniu tytułowym, jednym z najlepszych w tomie, w zresztę zbudowane, a raczej nerwowe i podniecone życie pacjentów w sanatorium, ten „lepszy obiad” oznacza wszakże nie tylko bogatszą zastawę na stole, ale to również krok do nadziei.

użytku — drobniutki ułatwiający i ubarwiający ponurą egzystencję, odciągający uwagę od nieustannego zagrożenia, przynoszący małe, ale jakże istotne radości życia. Będą to siatki pełne jarzyn, pachnące już smaczną zupą, będą gazowe pończochy. Symbolem jest przywiązanie do psa, spacer w aromacie iglastego lasu. Drugi plan, nadzór nad rangą i znaczeniem, dotyczy przede wszystkim zdobywania doświadczeń moralnych. Tu wszystko staje się niejednoznaczne, płynne, mgliste. Bez określonych konturów. Ktoś oto nagle okazuje się niespodziewanie bohaterem, ktoś inny — lajdakiem lub po prostu słabym człowiekiem. Trudno sprostać wymaganiom tamtych czasów — zdaje się mówić autorka. I przytacza na to liczne dowody. U niektórych odpadają skrupuły moralne, że może wśród ginących z ręki

dokonującej się w krainie uśmiechu, serdeczności i ludzkiego ciepła. Nie ma tu jednak uproszczonego dydaktyzmu, naderżniętego moralizatorstwa. Pisarka ocenia świat i ludzi w sposób precyzyjny, surowy, sprawiedliwy. Ale także życzliwy i wyrozumiały dla ludzkich słabości. Tak może pisać ktoś, kto ma w sobie duszę poety. Poety mądrego i wiele rozumiejącego.

Rok po debiucie prozatorskim ukazuje się wiersze Ireny Dowgielewicz w tomiku „Sianie pietruszki” (LTK). Pisał wówczas Zbigniew Bieńkowski w „Twórczości” (nr 11 z 1963 r.): „Osobnym zjawiskiem jest tomik Ireny Dowgielewicz, zjawiskiem wartościującym. Jej wiersze nie są może poszukujące w sensie formalnym, znajdują się istotnie, jak się wyraża o nich we „Współczesności” Z. Pedziński, na granicy banału. Ale po szczelniej jeszcze stronie. Poetka wie, co jej grozi, i jakby bawiła się niebezpieczeństwem. Jej „Sianie pietruszki” to bezpretensjonalne, trochę staroświeckie autentyki. Autentyki, to jest istotne. Taka gorzka mądrość nie była abstrakcyjna”. Te słowa można odnieść do następnych tomików poetyckich Ireny Dowgielewicz: „Stadion dla biedronki” (LTK 1970 r.), „Tutaj mieszkam” („Czytelnik” 1973 r.), „Wiersze wybrane” (LTK 1977), a także — do serdecznego poematu o mieście Gorzowie.

Pisarka jest członkiem Zielonogórskiego Oddziału Związku Literatów Polskich od 1962 roku. Niektóre jej utwory zostały przełożone na języki: niemiecki, rumuński i słowacki. Za twórczość prozatorską i poetycką otrzymała w 1971 roku Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki III stopnia, została uhonorowana nagrodami regionalnymi, otrzymała Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

W rozmawie z Magdaleną Tomczak („Nadodrze” nr 26 z 1980 r.) autorka „Mostu” wyznała: „Obserwuję z zapałem obojętność wielu ludzi wobec siebie nawzajem, leniwość niechęć do poszukiwania własnego sądu i sensu działania, brak autokrytycyzmu, dyscypliny wewnętrznej, skłonność do topienia wielu istotnych wartości w łatwym gadulstwie, co gorza w alkoholu. Zbyt często konsumpcyjny stosunek młodzieży do życia jest niepokojący tak bardzo, że na leży postawić sobie pytanie: co będzie dalej, czy gdy podrośną, nie zaczną jeść dać siebie nawzajem? Zresztą, przykładów tego rodzaju kanibalizmu i teraz nie brakuje.

Obok tego przeżywamy zjawiska jeszcze zbyt świeże, żeby określić je precyzyjnie, ale bez względu na motywację, wydają się być, jak na dziś, spektakularnym ożywieniem poczucia wspólnoty.

Aktualnie nie piszę systematycznie. Czuję się zmęczona, a stan mojego zdrowia nie jest od dawna najlepszy. Wreszcie, żyję współcześnie, ale z bagażem moich bardzo osobliwych przeżyć, które nie stają się tworzywem, a pozostają na dół trudnym do związania ciężarem — nie ułatwia mi to pracy, a jak sądzę, pisze się lepiej albo gorzej — tu nie ma stabilizacji”.

ZENON ŁUKASZEWICZ

IRENA DOWGIELEWICZ

LAUREATKĄ NAGRODY NASZEGO PISMA



Obserwuję zadziwiającą obojętność wielu ludzi wobec siebie nawzajem...

Fot.: CZESŁAW ŁUNIEWICZ

lat, można skonstatować bez żadnej przesady, iż pisarka ma utrwaloną wysoką pozycję w dorobku polskiej literatury współczesnej, pozycję niekwestionowaną zarówno przez profesjonalną krytykę, jak i przez szerokie rzesze jej czytelników. Myślę jednak, że w społecznej świadomości Irena Dowgielewicz funkcjonuje przede wszystkim jako autorka krótkich form prozatorskich, zebranych w takich tomach, jak „Lepszy obiad”, „Przyjadę do ciebie na pięknym koniu” i „Most”. Dołączyć można jeszcze niewielką powieść pt. „Krajobraz z topolą” — utwór może nieco słabszy artystycznie od uprzednio wymienionych, niemniej najmocniej związany z obszarem tematycznym, obejmującym specyfikę Ziemi Zachodnich.

Proza Ireny Dowgielewicz, należąca do gatunku psychologiczno-obejrzajowego, realistyczna w swej konwencji, jest zarazem podsyta liryzmem. Cóż to oznacza? Otóż, w moim przekonaniu, autorka pisząc swoje opowiadania, w których w dramatyczny sposób ukazuje doświadczenia ludzi, którzy przeżyli wojnę, często są dziś starzy i chorzy, nie może jednak uciec od ich lirycznej podmiotowości, nie może lub nie chce zapomnieć o tym, iż była i jest nadal poetką, i takie widzenie świata determinuje śródki artystycznego wyrazu jej prozy. Co wcale nie oznacza, że jest to proza ulonna, niskiego lotu...

Już debiutancki tom opowiadań, zatytułowany „Lepszy obiad” (Wyd. Poznańskie 1962) przyniósł autorce uznanie, zasłużony splendor. Krytyka była zgod-

na, że jest to debiut dojrzały i nieprzeciętny. Zawarte w tomie opowiadania, zważywszy na ich wiek, są autentyczne w swej prawdzie ukazania skomplikowanych spraw codziennego życia, trapiącej jakąś bezpośredniością i szczerością wypowiedzi pisarskiej. Nie ma tu pożytku, minodologii, kreacji na wyrost, zbędnych sekwencji i nieuzasadnionych ornamentów. Nie ma epatowania „literackością” języka, nie ma wreszcie modnych do dziś

udziwnień i eksploataowania problemów marginalnych. Ta proza jest aż surowa w swojej prostocie, a wszystkie utwory pozostają konsekwentnie w kręgu jednego tematu, którym pisarka jest zafascynowana bez reszty, uroczona. To temat podstawowej egzystencji ludzkiej, to temat dotyczący człowieka uwikłanego w chorobę, dotkniętego cierpieniem i bólem, nostalgia za pełnią życia ludzi zdrowych, pełnosprawnych. Autorka poddaje ten problem wnikliwej, skalpelem swojej wrażliwości rozszczepia go na losy poszczególnych ludzi, których traktuje z mądrym dystansem wyrozumiałości dla ich wad i słabostek, lęku i przerażenia.

Bohaterowie opowiadań Ireny Dowgielewicz to przede wszystkim kobiety, dotknięte chorobą, samotnością a nieraz i nadchodzącą starością. To determinuje ich psychikę, ciąży na ich sposobie reakcji i zachowania się wobec świata. Ludzie ci szukają więc ucieczki w świat wewnętrznych przeżyć i drobnych, umiających codzienność — rzeczy, przedmiotów. Szukają w tych rejonach pogodnego uśmiechu, wytartego z ich twarzy piętnem choroby. Ale przecież często — jak to bywa w salach szpitalnych — na glebie powikłań chorobowych wyrastają złośliwości i docinki, sarkastyczne grymsy i przekoramarza nie się o wartości, te praktyczne, na co dzień.

Więc taki jest ów świat Ireny Dowgielewicz, świat smutny i nostalgiczny. Ale przecież zarazem jest w nim wiele pogody, nastroju nie podbarwionego

To jakiś już zakończony etap trudnego leczenia i przybliżenie perspektywy całkowitego powrotu do zdrowia i normalnego życia.

Ale przecież na uwagę zasługują i pozostałe utwory Ireny Dowgielewicz, zamknięte w tomie „Lepszy obiad”. Wzruszają one prawdą psychologiczną i pięknym stylem, przeplecionym nieraz poetyckim porównaniem, alegorią, przenośnią. A także — precyzją w kreśleniu ludzkich postaci, wyrazistych, pełnowymiarowych. Taką postacią w „Lepszym obiedzie” jest np. doktor Biały, w „Komisji” — stara, schorowana kobieta, na której drodze staje biurokracja, pozbawiony rozsądku przepis. Przepis, który pozbawia ją ostatnich drobnych radości. W „Zdarzeniu” — jednym z najlepszych utworów zbioru — autorka ukazuje ciekawą panoramę sali szpitalnej, bogatej we wspomnienia i przeżycia kobiet, ich szary zwykły dzień. I unosi się w niej aura cierpienia, lęku, który „leży na dnie każdej rzeczy i u korzenia każdego dnia”.

W tomie pojawia się też inny motyw. W „Radości człowieczej” został poszerzony krąg tematyczny. Jest to wyjście poza zwykłe współczesne, zesłane przez los cierpienie, w czas innej heroiki, męstwa walki z okupantem, walki partyzanckiej, gdy rodzi się okazja zamianowania czynnej postawy wobec życia, sprężenia się w sobie do walki, gdy można odnaleźć sporo radości z uratowania nie tylko siebie, ale również drugiego człowieka.

W jednym z opowiadań autorka pisze: „Ze stosu połamanych zapalek trzeba ocalić coś, co się jedynie liczy”. Myślę, że Irena Dowgielewicz z obszaru cierpienia i lęku ocala okrucieństwo, męstwo i wiary w człowieczeństwo. Może brzmi to zbyt patetycznie, ale taka jest przecież prawda.

Trzy lata po tym interesującym debiucie, również w oficynie poznańskiej, ukazuje się drugi tom prozy Ireny Dowgielewicz, zatytułowany „Przyjadę do ciebie na pięknym koniu”. Autorka kontynuuje swoje zainteresowania życiem powszednim zwykłych, prostych ludzi, odnosząc się do czasów wojennych, okrutnych, wymagających dokonywania codziennych wyborów, wymagających obrony ludzkiej godności i prawa do życia. Tym totem potwierdziła swój nieprzeciętny talent pisarski, ujawniając wielką wrażliwość i świetne opanowanie warsztatu. Rok później, także w Poznaniu, ukazała się wspomniana już powieść — „Krajobraz z topolą”. Pisarka wykorzystuje tu niewątpliwie swoje doświadczenia z okresu pracy w Witnicy, bowiem akcję umieszcza w małym miasteczku, w tartaku, ale tym razem wypowiada się w trzeciej osobie, nadając utworowi — jak słusznie zauważył Henryk Berez — „pozyory epickości”. Bowiem i ta proza jest podsyta liryzmem i predylekcjami autorki, choć nie ma w niej poetyczności i pejoratywnym tego słowa znaczeniu.

I wreszcie, w 1968 roku w „Czytelniku” Irena Dowgielewicz wydaje kolejny zbiór opowiadań pt. „Most”. Zebrała w nim utwory tematycznie związane z latami wojny. Na prawdę i autentyczność obrazu lat okupacji składa się nie wielkość bohaterstwa czynów, lecz codzienna, szara tkanka życia. Autorka nie otwiera nam szerokiej perspektywy batalistycznej, jej opowiadania nie są skazane na opisy walk i potyczek, nie są nawet próbą oddania tej całej skomplikowanej techniki zmagania narodu o wolność. Jeśli ma dojść do wyśadenia mostu, to nie ma to być tylko wysadzenie nie jakiegoś obiektu, gdyż pojedynczy przypadek tego typu nie decydował o wynikach wojny, choć z pewnością przybliżył zwycięstwo. Chodzi tu jednak o coś innego: o przygotowanie do tego czynu, o krystalizację ludzkich postaw, o uruchomienie określonych motywacji. O ich obnażenie i ukierunkowanie. Niemcy zdeorganizowali nawet umieranie: umierało się za złoto i dolary, za człowieczeństwo, za odwagę, za brak odwagi, a także za nic” — napisze w jednym z opowiadań. A gdzie indziej doda: „Nigdy człowieczeństwo nie chadzało tak nagi, jak w owym czasie nieludzkim”.

Akcja wszystkich opowiadań rozgrywa się na dwóch, mocno ze sobą sprzężonych, planach. Komponentami jednego są zwykłe czynności i przedmioty codziennego

podziemia Niemców są również niedawni spokojni i uczciwi obywatele... Tradycyjne wartości ulegają rozpadowi, świat pogrąża się w irracjonalnym dążeniu do zagłady. Tracą wartości wszelkie normy, oceny, kryteria. A i powojenne losy bohaterów nie są tak wcale jednoznaczne i zrozumiałe.

Są w tej książce dwa opowiadania, których szczególnie wysoki kunszt artystyczny zasługuje na specjalną uwagę. Myślę o przedrukowanym z poprzedniego tomu opowiadaniu „Przyjadę do ciebie na pięknym koniu” oraz o nowym — o „Moście”. Czysty i klarowny, wręcz klasyczny, rysunek postaci, intrygująca akcja, konsekwentnie poprowadzona, z pointą zaskakującą i niebanalną, zarazem język pełen świeżości, plastyki — oto bezsporne walory tej prozy. Spłata nie losy ludzkie, krzyżujące się sprawy bagatelne i te o wadze ceny życia, jednostki osadzone głęboko w kontekście życia społecznego, ludzie wobec konieczności wyboru, tkliwość dziewczęcego uczucia i marzenie o weselnym kobiercu, i ogromnym bukiecie róż, chłopiecia konspiracja jeszcze bez troski rozważnej i pełnej niepokoju o życie, a już za granicą indiańskich zabaw, szczypta przyjaźni i ogrom okrucieństwa — oto w telegraficznym zapisie rejestr spraw ważnych i znaczących w tej pięknej prozie.

Irena Dowgielewicz nie demonizuje lat okupacji. Kreuje świat prosty, ale zarazem jakże skomplikowany, zlepiiony z codziennych ludzkich spraw, utoczony z właściwego budulca. Ten czas nieludzki okazuje się — co może zabrzmieć paradoksalnie — czasem wielkiej próby,



Mamo, jeżeli jest ból, Ty jesteś bólem, jeżeli jest Bóg, sprzeciwiam się Jego wyrokowi. Nie mogę Cię objąć, bo wtedy płaczesz jak nadmiernie obdarowany nędzarz. Nie mogę Cię objąć, bo wtedy płaczę przechylając pusty bukłak nad ustami ginącego z pragnienia. Nie widzisz drzew. Nie wlewają się chlusem łaskawej zieleni w Twoje zmęczone oczy. Nie czujesz dżdżu. Nie jesteś z tego świata. Czasem wracasz do domu swojego dzieciństwa i mówisz do mnie: mamo. Wtedy staję się na krótko przystanią, która może Ciebie przyjąć. Milczysz. Ale milczenie jest w Tobie. Za białym szkłem. Twój uśmiech trzymam na dłoni jak ruchome światło — dłoń nie daje się zamknąć. Pamięć: kartki zlepienego celofanu: kołyszysz się na drewnianym łabędzie dziecinnej karuzeli. Odpływasz. Mijasz mnie raz po raz najbliższego, obcego człowieka. Jestem przy Tobie. Zawsze. Także wtedy kiedy mnie daremnie wołasz.

Z tomiku „Wiersze wybrane” (Lubuskie Towarzystwo Kultury, Zielona Góra, 1977).

Od redakcji: W tym roku po raz 25 przyznaliśmy Nagrodę naszego pisma. Na uroczystość wręczenia Nagrody Irenie Dowgielewicz oraz wieczer, poświęconej jej twórczości zapraszamy w dniu 2 października br. o godz. 17 do Wojewódzkiego Domu Kultury w Gorzowie Wlkp.

A oto nasi dotychczasowi laureaci: Edward Dąbrowski, Marek Okopiński, Eugeniusz Paukšta, Jan Korcz, Władysław Korcz, Jan Wąsicki, Eugeniusz Wachowiak, Włodzimierz Korsak, Stanisław Cynarski, Halina Lubicz, Wiesław Sauter, Michał Kaziów, Alf Kowalski, Jan Muszyński, Józef Markiewicz, Bolesław Soliński, Barbara Kołodziejska i Adam Kołodziejski, Hieronim Szczegół, Stefan Słocki, Lech Wierusz, Zdzisław Morawski, Stanisław Hajzer, Marian Eckert i Jan Lembas.

Spoleczne oczekiwanie silnej partii

Ciąg dalszy ze str. 1

ją słabo. Sporo organizacji partyjnych ogranicza się do działania wśród wąskiego aktywu partyjnego. W cieniu ważkich problemów i spraw, którymi żyją środowiska. Bywa, że w organizacjach mało liczebnych toleruje się brak dyscypliny, nie przydziela się zadań członkom partii, słabo kontroluje się wykonanie uchwał. Nasze młode kadry partyjne nie opanowały w dostatecznym stopniu metod politycznego oddziaływania na środowisko. Widoczne jest to w tendencjach do pracy w siedzących instancjach, w niedostatkach bezpośrednich kontaktów z bezpartyjnymi, z robotnikami w zakładach pracy. Wśród rolników i młodzieży...

...Dla wszystkich organizacji podstawowych i instancji sprawą działającą najważniejszą jest działalność wśród bezpartyjnych, dobór i wychowanie kadr. Trzeba samokrytycznie stwierdzić, że jest to najcięższa strona naszej działalności. To prawda, że potrafimy coraz lepiej organizować narady i posiedzenia egzekutyw, plenarne posiedzenia, ale ich częstotliwość i najwyższa nawet jakość nie jest najważniejszym miernikiem partyjnego przewodnictwa. Tym miernikiem jest natomiast to, jak pod wpływem naszych politycznych, ideowo - wychowawczych i organizatorskich działań następuje zmiana w warunkach życia ludzi pracy, a także w nich samych, w ich postawach, w gotowości do wysiłku ponad miarę przeciwnego wykonywania obowiązków. Dla tego szczególnie musimy cenić tych, którzy nie tylko chcą, ale potrafią pracować z ludźmi i wśród ludzi, nie tych w gabinetach, na naradach, za stołem przydługim. W takim nastawieniu powinniśmy dobierać i przygotowywać nasze kadry. Kto stroni od ludzi, od rozmów nawet na najtrudniejsze i trudne sprawy, kto nie posiada refleksu społecznego i wrażliwości na sprawy człowieka pracy — nie może sprawować funkcji kierowniczej w partii i z partii nęgo mandatu.

W sprawozdaniu na Konferencję Wojewódzką w Gorzowie na temat polityki kadrowej napisano: „Przy powoływaniu i odwoływaniu kadr kierowniczych przestrzegano w wojewódzkiej organizacji partyjnej zasady zasługania opinii POP/OOP o kandydacie na określone stanowisko. Opinie te jednak często były zbyt zdawkowe, ogólnikowo - pozytywne, z reguły nie zawierały uwag krytycznych. Ta niedobra praktyka musi się zmienić: opinie i rekomendacje muszą być poprzedzone wnioskami partyjną oceną, biorąc pod uwagę opinie społeczną w tym członków stronnictwa sojuszniczych oraz osób bezpartyjnych.”

W okresie sprawozdawczym Komitet Wojewódzki po zasięgnięciu opinii POP i właściwej instancji stopnia podstawowego wycofał rekomendację partyjną 3 osobom, a instancje terenowe w tym samym trybie 23 osobom. Niepokojące jest, że w tej liczbie mieści się jedynie 7 POP, które samodzielnie wystąpiły z inicjatywą wycofania reko-

mendacji na podstawie swych statutowych uprawnień. Wszystkie powyższe decyzje polityczne zostały zrealizowane i osoby te odwołano z zajmowanych stanowisk i funkcji. W 7 przypadkach orzeczono przy tym kary partyjne. Praktyka potwierdza dodatni wpływ tych surowych środków polityki kadrowej na atmosferę społeczno - polityczną, stosunki międzyludzkie i wyniki produkcyjne w zakładach pracy i miejscu zamieszkania.

Spoleczne oczekiwanie silnej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, z determinacją obstaranej przy pełnej realizacji postanowień X Zjazdu, niosących społeczeństwu wiele potrzebnych nadziei, może być spełnione tylko przez umocnienie więzi jej wszystkich ogniw ze społeczeństwem, zasadniczej zmiany stylu pracy podstawowych organizacji. Taka jest konkluzja obrad konferencji wojewódzkiej w Zielonej Górze i Gorzowie.

Na Konferencji Wojewódzkiej w Zielonej Górze obecny był i Sekretarz Komitetu Centralnego PZPR, Wojciech J. Jurek. Osobiście rozpoczął kampanię popjazdową w PZPR. Zielonogórska konferencja była pierwszą w kraju. Problematyka województwa, średniego w porównaniu z innymi, mającego swój dorobek, ale i niedostatki, znalazła w niej miejsca w wystąpieniu. Na Konferencji w Gorzowie obecny był członek Biura Politycznego KC PZPR, minister Obrony Narodowej gen. armii Florian Siwicki. W swojej wypowiedzi akcentował siłę wojska pływającego z rozległych kontaktów z narodem — również województwa gorzowskiego.

— Nie ma postępu bez twórczego nie zadowolenia, prowadzącego do usuwania zł, przeciwdziałania słabości, uruchamiania rezerwy — powiedział gen. armii Wojciech Jurek.

— Sprawę nadzrędną, czemu dał toż raz X Zjazd partii, jest walka o zachowanie pokoju. Utrzymanie pokoju jest warunkiem spełnienia naszych zamierzeń rozwojowych — powiedział gen. Florian Siwicki.

Konferencje wojewódzkie w Zielonej Górze i Gorzowie dokonały wyboru nowych władz komitetów wojewódzkich, egzekutyw i sekretariatów. Dokonane zostały duże zmiany kadrowe w składach kierownictwa obu instancji. Wśród 111 członków Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Zielonej Górze 50 procent członków pełni te funkcje po raz pierwszy. W składzie Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gorzowie znalazło się wielu doświadczonych działaczy partyjnych związanych z miastami i gminami województwa, oraz wielu działaczy administracji państwowej.

Obie konferencje wojewódzkie określiły metody i cele związane z wykonaniem uchwał i postanowień X Zjazdu na Środkowym Nadodrzu.

RYSZARD ROWIŃSKI



ZIEMIA I JEJ PIEŚŃ

To, co powszechnie nazywamy folklorem, czyli śpiew, muzykę i tańce, wielu etnografów określa jako folklorizm. W rzeczywistości folklor to wiedza ludowa, a więc cały zespół wiadomości, cały światopogląd człowieka należącego do społeczności wiejskiej. Należą tu: zwyczaje, obrzędy, gwara, wierzenia, medycyna ludowa, twórczość muzyczna, plastyczna, literacka.

Nasz wiek srogo obchodzi się z folklorem, choć w ostatnich latach fascynuje się nim cały świat. Folklor zanika w swoim właściwym środowisku, ale poza nim powstają muzea etnograficzne, izby pamięci, stowarzyszenia pielęgnujące folklor określonej grupy, lub ziemi, a sztuka ludowa wyraźnie przenika do współczesnej mody, budownictwa, malarstwa, muzyki. Medycyna ludowa wypiera medycynę opartą na naukowej wiedzy, lecz krzyżuje ona z doświadczeń znachorów, babek; lekarze zalecają używanie leków zielonych.

Czy folklor należy chronić? Profesor Roman Reinfuss, znakomity polski etnograf, twierdzi, że wiele jego składników zginię bezpowrotnie i człowiek nie ma na to wpływu, ale „u nas przylega do absurdu widza społeczeństwa jednolitego pod względem kulturowym. Kultura masowa chciałaby się zastąpić lokalne czy środowiskowe odrębności, a zapomina się o tym, że to, co jest patriotyzmem lokalnym, to składowe, wyrasta zupnie na podłożu patriotyzmu lokalnego; umiłowania swojszczyzny — to sensie najbardziej zawzięty — które stopniowo obejmuje kręgi coraz szersze, dochodząc do tego, co rozumiemy przez ojczyznę. I tu widzę głębszy sens ochrony folkloru.”

Światowa fascynacja folklorem trwa coraz mocniej. Rozwijają się spółdzielnie skupiające twórców ludowych, kwitnie handel dziełami sztuki, rodzą się nowe festiwale folklorystyczne. W Polsce jest kilka festiwali — o zasięgu regionalnym, krajowym i międzynarodowym. Od lat w Zakopanem odbywa się festiwal folkloru ziem górskich, na Śląsku — międzynarodowy festiwal studencki zespołów pieśni i tańca, w Zielonej Górze — także festiwal o zasięgu międzynarodowym. Te trzy polskie festiwale znajdują się w kalendarzu imprez Comité International des Organisateurs de Festivals Folkloriques, czyli międzynarodowej organizacji gospodarzy festiwali folklorystycznych, działającej pod egidą UNESCO. CIOFF powstała z inicjatywy Francji, Hiszpanii i Polski, przewodniczą jej Francuz; Polak Michał Kosłowski jest jednym z wiceprzewodniczących. Do CIOFF należy ponad 40 państw, głównie europejskich.

Festiwal w Zielonej Górze, odbywający się co dwa lata od 1964 roku, w ocenie CIOFF należy do znaczących na świecie. W każdym wydawnictwie tej organizacji wymienia się Zieloną Górę jako ważne miejsce popularyzacji ludowego śpiewu, pieśni i tańca. Do niedawna CIOFF szeregowała światowe festiwale według kategorii; impreza zielonogórska należała do grupy A, czyli najważniejszych, najlepiej organizowanych, największych. Z jednej strony jest to sprawa miejsca i okoliczności, w jakich ten festiwal się odbywa, z drugiej zaś rzadko spotykanej pracowitości, mądrości, zaradności komitetu organizacyjnego. Nigdy nie było łatwo przeprowadzić u nas wielką imprezę, teraz jeszcze trudniej, a w Zielonej Górze, ubogiej w miejsca hotelowe, posiadającej niewiele restauracji, jest to zadanie karkołomne. Komitetowi organizacyjnemu pomysłów i chęci nie brakowało nigdy, ale odczuwał, i to zawsze, niedobór pieniędzy. Gdyby nie pomoc obu zielonogórskich uczelni, władz miasta, organizacji handlu i gastronomii, byłaby to impreza bardzo

droga. Ten festiwal zaliczany jest do najtańszych w Zielonej Górze i Polsce. Kosztuje około 11 milionów złotych, na co składa się przede wszystkim wyżywienie i przenocowanie 700 gości z zagranicy. Część kosztów pokrywają widzowie, kupując bilety na koncerty w amfiteatrze zielonogórskim i salach widowiskowych Ziemi Lubuskiej. Pozostałość, to dotacje współorganizatorów festiwalu, najczęściej kwoty niewielkie. Do niedawna niektóre wydatki pokrywał Komitet do spraw Radia i Telewizji, za prawo transmisji zielonogórskiego festiwalu w ramach audycji „Estrada folkloru”. W tym roku, ku zaskoczeniu komitetu organizacyjnego, telewizja wycofała się ze współorganizacji imprezy. Telewizowie nie obejrzą więc tego, co dzieło się w amfiteatrze, a co przez kilka niedziel gromadziło publiczność przed odbiorcami. Problem jest tym poważniejszy, że tylko telewizja zbierała dokumentację tej imprezy. Wojewódzki Dom Kultury, bezpośredni gospodarz festiwalu, nie jest w stanie własnym sprzętem rejestrować koncertów. Nie ma on ani archiwum, ani specjalistów, którzy opracowaliby zgromadzony materiał. Skończył się festiwal i niewiele pozostaje u nas. Być może powstające Muzeum Historii Zielonej Góry będzie w stanie zgromadzić dokumentację wszystkich imprez kulturalnych, w tym i festiwalu folklorystycznego. Dla następnych pokoleń takie dokumenty mogą być bardzo ważne!

XI Międzynarodowy Festiwal Zespołów Pieśni i Tańca byłam i przeprowadzony oszczędnie. Miał bogatą scenografię, projektu Jerzego Gorazdowskiego, od początku festiwalu w Zielonej Górze towarzyszącego tej imprezie. W przeszłości J. Gorazdowski scenę w amfiteatrze zamieniał w izbę wiejską, w tym roku urządził ją jak podwórze. Była więc studnia z żurawiem, gołębnik, buda dla psa, nawet ptaki śpiewające, a nad tym trochę słońca. Gdyby wykonanie tej dekoracji zlecono firmie specjalistycznej, kosztowałaby kilka razy więcej niż kosztowała. Dekoracja w widowisku folklorystycznym jest bardzo ważna, o czym pamiętał scenograf i jej wykonawcy, a także reżyser Gerard Nowak.

Powodzenie zielonogórskiej imprezy zależało od osoby prowadzącej koncerty. Wywiązał się z tego znakomicie Józef Broda, góral, nauczyciel z Istebnej. Pełnił on rolę konferansjera, ale i komentatora, co w przypadku tego festiwalu było bardzo ważne. Bowiem zespoły prezentowały folklor różnych kontynentów, grały na instrumentach, które publiczność zebrana w amfiteatrze widziała pierwszy raz. J. Broda objaśniał pochodzenie bębna dohl, delruba niby — skrzypce, opowiadał historie tańców, ich rolę i znaczenie w przeszłości narodów, których przedstawiciele prezentowali się podczas festiwalu. Nie było to łatwe, gdyż wiele instrumentów nie ma polskich odpowiedników, o wielu nie wspominają nasze encyklopedie. Najbardziej zainteresowanych muzykowaniem ludowym zaprosił na specjalny koncert muzyków i kapel, którzy do późnej nocy odbywali się w sali teatralnej. Dopiero tam oczom i uszom publiczności ukazała się cała precyzja i misterność tej sztuki.

W tegorocznym festiwalu wzięło udział 13 zespołów pieśni i tańca z 12

krajów Ameryki Północnej, Azji, Europy. Dla niektórych pobyt w Zielonej Górze był częścią kilkutygodniowego tournée po Europie, inne przybyły specjalnie na festiwal, niektóre już kolejny raz. Ze zgłoszonych zespołów nie przyjechali Grecy i zakopiański Zespół Regionalny im. Bartusia Obrochty. Głównym celem przyjazdu do Polski był udział w festiwalu, mimo to wiele zespołów koncertowało poza Zieloną Górą. Koncerty i spotkania odbywały się m.in. w Głogowie, zowie, Myśliborzu, Przytocznej, Żarach, Dąbrowce, a więc w Zielonogórskim, Legnickim i Gorzowskim. W Zielonej Górze zespoły wzięły udział także w korowodzie winobranowym, który, gdyby nie one, byłby mniej udany. W ciągu festiwalowego tygodnia zespoły dały 36 koncertów dla 70 tysięcy widzów. Najwięcej publiczności gromadził amfiteatr na Wzgórzach Piastowskich. Podczas koncertu galowego zajęło w nim miejsca ponad 5 tysięcy zielonogórczyków, wraz z nimi przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki, licznie przybyli dziennikarze, etnografowie, gospodarze województwa zielonogórskiego i delegacje z województw ościennych. W amfiteatrze był obecny marszałek Sejmu PRL — Roman Małinowski, pod którego patronatem odbywał się ten festiwal.

Jedyna komisja, która dokonywała ocen artystycznych prezentacji, była publiczność. Zespoły wyjechały z Zielonej Góry nie z pucharami za zajęte miejsca, lecz z upominkami. Na świecie są festiwale, gdzie przyznaje się nagrody, ale czy to jest sprawiedliwe? Czy można porównać ze sobą folklor Kubańczyków i na przykład Bułgarów? Pamiętając o tym organizatorzy festiwalu w Zielonej Górze, którzy odstąpili od wszelkiej oceny, starając się stworzyć jak najlepsze warunki do prezentacji tego, z czym przyjechali poszczególne zespoły. Oczywiście publiczność miała swoich faworytów, jedne grupy zęgnęła tylko brawami, inne wołaniem o bisy. Hiszpanie z „Rajces de Aragon” po drugim bisowaniu byli proszeni na scenę. A ich krajanie z zespołu „Alkatasuna”, mimo interesującego akompaniamentu muzycznego i bogatych strojów, nie zyskali szerokiego uznania u widzów. Znakomicie zaprezentował się zespół „Harr” z Thale w NRD. Na poprzednich festiwalach folklor naszych zachodnich sąsiadów był przyjmowany bez większego entuzjazmu, tym razem amfiteatr tańczył razem z zespołem. Podobnie było, gdy na scenie zjawiała się grupa „Proletar” z Sarajewa. Umiejętności Józefa Brody przydały się, gdy wysze pował Zespół Tańca Ludowego „Zalka” z Budapesztu. Grupa ta zaprezentowała luźny zestaw tańców i piosenek z różnych regionów Węgier, często zmieniając kostiumy. Lukki umiejętnie wypełniał komentator. Zespół Folklorystyczny „Narges” z Afganistanu prezentował tańce popularne w swoim kraju, m.in. banjara, shan-shan, dastmal bazi, pakista. Bułgarzy z „Wielingradu”, którzy do Zielonej Góry przybyli z festiwalu zakopiańskiego, podobnie jak grupa afgańska, mieli w swoim repertuarze tańce i pieśni góralskie. Grupa „Tafers” ze Schmittenu (Szwajcaria) przywozila tańce i muzykę „wólego kantonu”. „Clita di Assemini” to grupa włoska z Sardynii, coznaczona w Zielonej Górze już drugi raz. Publiczności przynadły do serca niofiew artystów turkmeńskich z zespołu „Llehan gullie-i”, reprezentujących Związek Radziecki. W przedostatnim dniu festiwalu występowal turecki Folklorystyczny Zespół Młocza i Tarczy z Burzy. Po nim — Kubańczycy, lecz ci nie wzbudziili większego zachwytu.

Zachwytu festiwalu, donosząc do udziału w imprezie tylko te zespoły, które zaprezentowały folklor stylizowany, ale niezbyt daleko odlegający od pierwowzoru, zwłaszcza jeśli idzie o instrumenty i stroje ludowe. Czy tak było w rzeczywistości? Nie to jest ważne bowiem organizatorom zależało na pokazaniu folkloru różnych regionów świata — korzeni kultur narodowych. Cel został osiągnięty.

ALFRED SIATECKI
Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

NSEKWENTNA REALIZACJA I ZJAZDU PZPR — KIERUNKIEM BUDOWIE POLSKI SOCJALIST



I sekretarz KW PZPR w Gorzowie Wiktor Kinecki otwiera obrady Konferencji. Fot.: KAZIMIERZ LIGOCKI

— W szlaku bojowym 1 Korpusu Pancernego — od Chelma po Łużycę, Drezno i Pragę uczestniczył Pan jako 19-letni sierżant — czołgista. Od czego zaczęły Pan pamiętniki młodzieńczego żołnierza?

— Od chwili, gdy w marcu 1944 roku w rodzinnym Tarnopolu zgłosiłem się na ochotnika i dostałem skierowanie do szkoły podoficerskiej w Ulanowsku nad Wołą. Stamtąd po czterech miesiącach szkolenia przysłano mnie w okolice Chelma, gdzie tworzył się samodzielny 1 Polski Korpus Pancerny, zwany później Drezdeńskim. Do chełmskich lasów ścigali zewsząd ludzie, niektórzy w mundurach, inni w cywilu. Korpus formowany był od podstaw, pod kierownictwem polskich specjalistów przygotowanych w radzieckich szkołach oraz z udziałem rezerw mobilizacyjnych, pozostających w dyspozycji Głównego Sztabu Formowania WP. Załóżki korpusu przybyły tu z Berdyczowa. Działo się to 42 lata temu.

— Siedzieliście w chełmskich lasach i czekaliście na rozkaz wymarszu na wojnę?

— Czekaliśmy również na wyposażenie, sprzęt, broń, wozy. W grudniu 1944 i w styczniu 1945 roku z fabryk za Uralem nadeszły nowe czołgi i samochody. Wyruszyliśmy wreszcie w pierwszych dniach lutego 1945 roku, częściowo po cięgach, częściowo samochodami. To znaczy piechota zmotoryzowana i artyleria ciągnięta drogami, zaś czołgi transportem kolejowym. W ten sposób zaczęło się długie i bardzo uciążliwe przegrupowanie korpusu na front. Zima była ostra, mróz, śnieg, zawieje. W tych warunkach musieliśmy pokonać blisko dwa tysiące kilometrów.

soka. Jeszcze tylko ogłuszający huk i mój czołg przestał istnieć.

— Co się stało z plutonowym Fiutkiem?

— Zniosłem go na plecach do najbliższego punktu sanitarnego. Żyje do dziś, obecnie w randze pułkownika.

— Podobno była to jedna z najbardziej krwawych bitew.

— Tak to się teraz ocenia. Poległo bardzo dużo naszych żołnierzy, a mnożono rany. Ziemia była dosłownie czerwona od krwi. Tam właśnie zginął na moich oczach dowódca kompanii porucznik Ryszard Szydłowski, gdy wchylony z władu obserwował przez chwilę pole walki. Z 65 czołgów tylko trzy pozostały całe. Ale za to udało się nam zniszczyć 75 czołgów niemieckich. Część naszych maszyn została wyremontowana i stworzono z nich nową brygadę. Ja po dwóch dniach otrzymałem inny czołg i inną załogę.

— W moim domu na ścianie wisi mój obrazek z szlaku bojowego. Zmapy tej wynika, że 1 Korpus Pancerny działał jak gdyby w trzech etapach. Pierwszy etap, to przełamanie umocnień na Nysie Łużyckiej i szybki marsz na Drezno. Etap drugi, to odwrót spod Drezna w celu wspomoczenia II Armii i jednostek radzieckich, okrążonych przez oddziały feldmarszałka Schoenera i tzw. operacja łużycka. Etap trzeci, to pościg za cofającymi się wojskami niemieckimi w kierunku Pragi.

— Tak to można powiedzieć w skrócie. Ale trzeba dodać, że 1 Polski Korpus Pancerny walczył w składzie I Frontu Ukraińskiego, dowodzonego przez marszałka Iwana Koniewa. Szliś

Modlinie, a po jej ukończeniu pracowałem w różnych jednostkach wojskowych, studiując równocześnie na Politechnice Gdańskiej. Ostatnio związany byłem z Wojskową Akademią Techniczną w Warszawie.

— Przemierzeliście Pan dwie drogi: od sierżanta do generała i od absolwenta szkoły podoficerskiej do doktora nauk wojskowych. Jest to powód do dumy i satysfakcji.

— Największą satysfakcją jest dla mnie utworzenie Klubu b. Żołnierzy 1 Korpusu Pancernego. Niech mi pani wierzy, jest to moja wielka i nieustająca radość. Znowu istniejemy, znowu razem, spotykamy się i odtwarzamy wspólnie dzieje naszych walk i zwycięstw. Korpus liczył około 12 tysięcy żołnierzy, w tym siedmiuset oficerów oraz 3,5 tysiąca podoficerów. Miał 273 wozy bojowe, w tym czołgi i działa pancerne. Dokumenty osobowe oraz stanu posiadania 1 Korpusu, znajdują się w archiwach wojskowych. My, b. korpusowcy korespondujemy ze sobą. Piszemy do siebie w rocznicę wydarzeń, które razem przeżyliśmy. Wspominamy kolegów, którzy nie doczekali zwycięstwa i naszych dowódców. Utrzymujemy serdeczne kontakty z b. towarzyszami z Armii Czerwonej. Urządzamy zloty i spotkania. Wielki to dla mnie zaszczyt być prezesem tego Klubu.

— Encyklopedia Powszechna nie wspomina o 1 Korpusie, zaś w wydanej przez MON w 1975 roku Encyklopedii II Wojny Światowej podana jest na stronie 218 tylko biografia dowódcy — generała Józefa Kimbary, z jego portretem. Natomiast brak informacji o 1 Korpusie i jego dziejach.

— Świadczy to o tym, że jeszcze nie wszystko, co dotyczy II wojny światowej,

Stanisław Ryszard Dobrowolski

Naprzód

WIEC nie zginęła — i nie zginie!
Wolność — żywym, chwala — temu, co padnie!
Za krew bliskich przelaną niewinnie
W pierś Berlina — stalowy bagnet!
Za ruiny, za mord, za zgłiszczę,
za zbiegły śród kaźni włos —
jeszcze jeden śmiertelny wystrzał,
jeszcze jeden żelazny cios!
Jeszcze jeden cios, byle z mocą,
nim ostatni skok oddechu nie zaprze —
aż zwali się wieko nad nocą
i wesóły dzień nastanie nam... Naprzód!

19 lutego 1945 na Wale Pomorskim

Łużycę" podane są dokładnie imiona i nazwiska dowódców brygad i pułków.

— Ten sam autor napisał książkę pt. „Czwarta pancerna” w której skoncentrował się na jednej spośród czterech brygad 1 Korpusu. Szczegółową biografię 1 Korpusu Pancernego, z dokładnymi opisami walk oraz szlaku od Chelma do Mielnika opracował p. dr Zbigniew Raźnickiewicz. Książka zostanie wydana w wydawnictwie MON. Znalazł się także wśród nas kronikarz, b. żołnierz i obecnie członek Klubu, który zebrał fotografie i spisał nasze dzieje. Jest to st. sierż. Michał Wasilewski. Znaleźliśmy też wydawcę: jest nim Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy. Książka Wasilewskiego, na którą czekamy z niecierpliwością, także w pewnym stopniu przyczyni się do wypełnienia luki w historii II wojny światowej, a przy tym przysłuży się wychowaniu politycznemu młodych żołnierzy i przyszłych oficerów.

— Książkę Michała Wasilewskiego drukował w odcinkach tygodnik „Za Wolność i Lud”.

— Jesteśmy za to wdzięczni redakcji. Jesteśmy też szczerze wdzięczni zielonogórskiemu wydawcy. Warto może wspomnieć przy okazji, że dwie lub trzy książki o działaniach 1 Korpusu Pancernego wydała popularna biblioteczka „Tygrysa”. Jest film telewizyjny Zbigniewa Kociuby, zatytułowany „Pamięć w sercu zachowana”. Film ten opowiada o II Armii WP. Będziemy czynić starania o podobny film, poświęcony 1 Korpusowi. Zamierzamy też ogłosić konkurs na wspomnienia b. żołnierzy.

— Klub b. Żołnierzy 1 Drezdeńskiego Korpusu Pancernego ma siedzibę w Zaganiu. Dlaczego właśnie tu?

— „Drogi kombatancie zawiodły nas do Zagania” — mówi w swym wierszu ppor. Janina Tysnarzewska — Górska. Znaleźliśmy tu wielką życzliwość i prawdziwie szczerą przyjaźń. W Zaganiu też z Zaganiem wiąże się historia. Właśnie w tej ziemi, w położonej w pobliżu wioski Przewóz, ruszyliśmy w 1945 roku do ostatniej walki. Powstałe w Zaganiu Koło Miłośników 1 Korpusu Pancernego pod niezwykle aktywnym przewodnictwem mjr mgr Stanisława Drygałskiego, wydaje „Biuletyn Sławy i Chwały 1 Korpusu Pancernego”. Członkowie Koła odwiedzają naszych kombatantów i pomagają nam w organizowaniu klubowych spotkań w miłej, koleżeńskej atmosferze.

— Wspomniał Pan o wierszu i jego autorce...

— Jak pisał Wasilewski, była to szczupła, czarnooka dziewczyna w mundurze. Nazywaliśmy ją Janeczką. Miała zaledwie 18 lat, gdy jako korespondent wojenny wypowiadała się na szpaltach korpusowej gazety „Pancerni”. Obecnie ppor. Janina Tysnarzewska — Górska jest sekretarzem w zarządzie naszego Klubu. Piszcie wiersze, wszystkie o tematyce patriotycznej — żołnierskiej, np.: „Wojno moja wojno w kwiecie lat młodości, co dalaś, co zabrałaś tego nikt nie zliczy...”

— Wiele były również kobiety w 1 Korpusie.

— Tak, kilka z nich wspomina Wasilewski w swej książce.

— Poetka w mundurze mówiła, że wojna zabrała Wam młodość. Ale to tylko przenośnia. Patrząc na Pana trudno uwierzyć, że ma Pan za sobą te wszystkie wojenne przeżycia.

— Mojemu pokoleniu dana była możliwość zaistnienia i zaznaczenia się w historii. I zaistnieliśmy, choć nie wszyscy mieli szczęście przeżyć wojnę. Za to szczególne „zaistnienie” historyczne, moje pokolenie zapłaciło wysoką cenę. Mnie udało się przeżyć, poznać smak zwycięstwa i zaznać radości pokoju.

— Udało mi się, choć się nie oszczędzałem i zawsze starałem się być w pierwszym szeregu. Myślę, że w trudnych warunkach wojennych, na placu boju, na polu walki, w okopie, pod kulami, wyzwalając się w chwilek najlepszych cech: człowiek się hartuje, umacnia. Cechy te często już pozostają. A żołnierskie przyjaźnie — te potrafią przetrwać długie, długie lata.

— O czym mówicie podczas spotkań klubowych? Co jest tematem obrad zarządu Klubu b. korpusowców?

— Mówimy o tym, co robić i jak robić, by poszerzać wiedzę o 1 Korpusie Pancernym i przekazywać ją ludziom młodym. Mówimy też o sprawach so-

cialnych. Poprzez zarządy wojewódzkie ZBoWiD usiłujemy pomagać kolegom, znajdującym się w trudnej sytuacji. Mówimy o współpracy ze szkołami, z młodzieżą akademicką, także o zamierzeniach na przyszły miesiąc i następny rok. Także o zbieraniu dokumentów zdjęć, których mamy już sporo.

— Wspominał Pan o drugim zlocie b. żołnierzy 1 Korpusu. Był też zlot pierwszy.

— Obydwa odbyły się w Zaganiu, pierwszy z udziałem ponad stu osób, drugi znacznie liczniejszy. Podczas drugiego zlotu w 1985 roku zorganizowaliśmy wycieczkę autokarową szlakiem naszych bojów, ze szczególnym uwzględnieniem miejsc, gdzie walki były najtrudniejsze, a więc Łużycę, Budziszyn i miejscowości Horki, nazwane wówczas przez żołnierzy „doliną śmierci”. Muszę tu dodać, że wszystkie te oraz inne, podobne miejsca są przez społeczeństwo NRD upamiętnione, stoją pomniki, są zadbane cmentarze, na grobach kwiaty. Trzeci zlot planujemy w 1987 roku w Chełmie, jako kołecbo 1 Korpusu. W związku z tym przed paroma dniami odbyliśmy tam zebranie zarządu Klubu.

— Kto jest w zarządzie poza Panem?

— Wymienieni wcześniej ppor. Tysnarzewska-Górska, st. sierż. Wasilewski, p. Ryszard Kisielewski oraz prezesi kół klubowych: p. Fiutek z Lubli, mjr Eistadt z Jeleniej Góry i p. dr Marian Skarbek z Zielonej Góry.

— Co Panu zostało z tych wojennych lat, Panie Generale?

— Zaraz, niech pomyślę... Już wiem. Otóż strasznie szybko jem. Zona stale mnie upomina: nie śpiesz się, nikt ci nie zabierze! A wie pani, skąd mi się to wzięło? W szkole w Ulanowsku dostawałm jadenie w żołnierskim kociołku, jeden kociołek na dwóch. Przypadał mi współtowarzysz, który tak dziarsko machał łyżką, że wstawiał głodny. Nie ja jeden chyba, bo kursowało wśród nas takie powiedzonko: „Kociołek maleńki, maleńki, czołowiek dwa — gwintówka bolszaja, bolszaja, czołowiek adin”.

— A piosenki?

— Też zostały. Na przykład taką: „Gdy czołgi jadą z wielką paradą, pańny gromadą ślą całusy kochankom swym”. Albo: „Pan porucznik od saperów wyszedł na zajęcia i ustrzelił młode dziewczę na zielonej łące...”. Lub jeszcze inną: „Pod kaliną, pod zieloną żołnierza zabili...”. Patrzyliśmy, jak to się mówi, śmierci prosto w twarz, walczyliśmy z wielką odwagą i oddaniem. Ale czasem też pośmiataliśmy się i śpiewaliśmy, byliśmy przecież tacy młodzi.

— Jakże inną młodość miało następne pokolenie. Jakże inaczej żyją młodzi ludzie obecnie.

— Tym bardziej chcemy być z nimi w bliskich kontaktach. Bardzo nam zależy na serdecznej więzi kombatantów z następnym pokoleniem. Pragnielibymy mieć pełne zrozumienie z dzisiejszą młodzieżą. I temu celowi także służy poszerzanie i popularyzowanie wiedzy o 1 Korpusie Pancernym, jego działaniu w II wojnie światowej i znaczeniu, jakie odegrał.

— Ile członków liczy Klub b. Żołnierzy 1 Korpusu?

— Około 50 członków mamy w Zielonej Górze, prawie dwustu razem w Chełmie i Lublinie, są także kółka w Warszawie, Poznaniu, Jeleniej Górze... Nie pamiętam dokładnie, ale mamy spisanych ponad pięćset nazwisk. Chciałbym dodać do tego, co mówiłem o zlocach, że w 1985 roku w tym zgromadzeniu wzięła udział siedmiuosobowa delegacja naszych b. towarzyszy broni z ZSRR. Delegacji przewodził gen. Nikołaj Krawec, b. dowódca 1 Dywizjonu Artylerii Rakietowej w naszym korpusie.

— Panie Generale, jako prezesowi Klubu życzę Panu jak najlepszych efektów we wszystkich przedsięwzięciach.

— A ja pragnę dodać, że utworzenie Klubu b. Żołnierzy 1 Korpusu Pancernego było możliwe dzięki zrozumieniu naszej idei i poparciu jej przez Zarząd Wojewódzki ZBoWiD w Zielonej Górze.

— Dziękuję za rozmowę.

KOMBATANCKIE DROGI

Z gen. bryg. dr. Edwardem Łańcuckim prezesem Klubu b. żołnierzy 1 Drezdeńskiego Korpusu Pancernego rozmawia Halina Ańska

— Którędy wiodła trasa?

— Przez zrujnowaną, ale już oswobodzoną Warszawę, kipiący życiem Poznań, następnie Krzyż, Czaple, Myślibórz, Oleśnice, Wrocław, Bolesławiec. Była też na trasie Zielona Góra. Wszystkie te miasta wyglądały całkiem inaczej, niż dziś.

— Jak Panu wiadomo, mąż mój również walczył w szeregach 1 Korpusu Pancernego. Pewnego razu pojechałam z nim, aby odszukać miejsca, w których wówczas zatrzymywaliście się. Odnalazł znajome domy w Nowej Soli, Wschowie i Oleśnicy, a przede wszystkim w Myśliborzu, nad jeziorem. Była to wzruszająca wycieczka w przeszłość.

— Właśnie w Myśliborzu i okolicy mieliśmy skoncentrowanie całosci sił i środków 1 Korpusu. Przebywaliśmy tam, oczekując dalszych dyspozycji. Był początek kwietnia, gdy dotarliśmy do Nysy Łużyckiej. Panowała już wiosna — piękna i słoneczna. A my młodzi rwaliśmy się do walki i wierzyliśmy, że zwyciężymy.

— Był Pan sierżantem i dowódcą czołgu, tak, jak Janek w serialu „Człowiek pancerni i pies”.

— Ale prawdziwa wojna wygląda inaczej, niż przedstawiona w filmie dla młodzieży, toteż sporo przygód sympatycznej czwórki i psa Szarika nie mogło zdarzyć się naprawdę. Całkiem inna też jest sytuacja czołgu. Artysta strzela z ukrycia, piechota też. A czołg na polu walki jest widoczny i skupia uwagę tych, którzy chcą go zniszczyć.

— Czy pamięta Pan swoją załogę pancerną?

— Jakże mógłbym nie pamiętać! Me chanikiem — kierowcą był sierżant Zygmunt Rogalski, ładowniczym plutonowy Franciszek Fiutek, a najmłodszy z nas 17-letni Tadeusz Motyka był radio telegrafistą. Rogalski i Motyka spłoneli wraz z czołgiem pod Salzenforst koło Budziszyna.

— Jeden spalony czołg i dwaj polegli żołnierze, to w całym bilansie wojennym drobny szczegół. Ale dla kogoś, kto sam był wówczas o krok od śmierci, jest to zdarzenie wryte w pamięć na zawsze.

— Opowiem, jak to się stało. Korpus nasz składał się z czterech brygad: pierwszej brygady zmotoryzowanej piechoty oraz drugiej, trzeciej i czwartej brygady czołgów. Ja wraz z moją załogą i czołgiem 2110 byłem w drugiej brygadzie, w pierwszym batalionie. Otrzymałem rozkaz, aby pomóc w przerwie

moje zwycięsko do przodu i dotarliśmy pod Drezno. W chwili, gdy od miasta dzieliło nas zaledwie kilka kilometrów, nadeszli rozkaz natychmiastowego odwrotu. Żołnierze wprost nie wierzyli. Jak to, wrócić teraz, nie zdobywając Drezna i będąc już na jego przedmieściach? Ale rozkaz w wojsku, to rzecz święta. Zawróciliśmy, by zgodnie z rozkazem pójść z pomocą II Armii, okrążonej przez wojska marszałka Schoenera. Żołnierze 1 Korpusu bijąc wroga walecznie i skutecznie, odegrał znaczącą rolę w walkach o Budziszyn.

— Gdzie zastał Pana koniec wojny?

— W Mielniku koło Pragi, na terenie Czechosłowacji. Tam zakończyłem moją drogę bojową, po czym zadane sobie pytanie: co dalej? Odpowiedź zjawiała się natychmiast: zostaje w wojsku. Z tym postanowieniem wróciłem do kraju. Wstąpiłem do szkoły oficerskiej w



Fot.: ROMUALD BRONIAREK

wej, zostało dostatecznie spisane. Że historia nie jest jeszcze w sposób należyty utrwalaona dla przyszłych pokoleń. Zadałem sobie pytanie: czy nie warto było opisać i opublikować te wydarzenia? Wtedy II Armia WP, jak 1 Korpus Pancerny, powstała pod koniec wojny i wkroczyła do niej w ostatnich, decydujących momentach.

— Jednakże są publikacje książkowe, w których można znaleźć wątek 1 Korpusu. Np. w wydanej staraniem MON w 1965 roku obszernej pracy Kazimierza Kaczmarskiego pt. „W bojach przez

NA PRZYKŁAD: JASIEŃ

Stanisław Wesołowski, po trzynastu latach służby w Wojsku Polskim, jako kapitan w stanie spoczynku, w 1958 r. na stałe zamieszkał w Jasieniu, kilkudziesięcnej miejscowości województwa zielonogórskiego. Zaczął pracować w Fabryce Maszyn Budowlanych ZREMB w charakterze tokarza. Planowana tymczasowość przerodziła się w prawie trzydziestoletni związek z zakładem i Jasieniem. Od trzech lat S. Wesołowski jest na emeryturze. Zaś ósmy rok zajmuje się metaloplastyką i osiąga wiele sukcesów w tej rzadkiej i mało popularnej wśród amatorów dziedzinie artystycznej.

— Malarz — amator lub rzeźbiarz — amator to w naszym społeczeństwie osoba często spotykana. Natomiast rzadziej słyszy się o metaloplastyce. Jaka droga prowadzi do Pańskiej fascynacji?

— Zaczęło się od drewna, z którym po raz pierwszy zetknąłem się w czasie wojny. Jako siedemnastoletni chłopak pracowałem w kaliskiej fabryce fortepianów Arnolda Fibbigiera. I na życzenie jednego z klientów oraz polecenie majstra (dziś odnoszę wrażenie, iż był to żart, na który dałem się nabrać) zrobiłem płaskorzeźbę przedstawiającą humanistyczną boginię. Był to element fortepianu koncertowego, powtórzony w jeszcze jednej wersji.

Potem przez wiele lat nie zajmowałem się plastyką. Myślałem o obróbce artystycznej, bo pracując jako tokarz — stykałem się z metalem przez dwadzieścia lat. W międzyczasie związałem się z Robotniczym Ośrodkiem Kultury w Jasieniu i przez dwie kadencje byłem przewodniczącym Rady Klubu. Ciągle pozostając pod urokiem odkryć archeologicznych w Wicinie, mówiących o lużyckim i słowiańskim pochodzeniu m.in. Jasienia. Ośmiem lat temu rozpoczęła się moja przygoda z rzeźbą. W naszym miasteczku zorganizowano plener rzeźby przestrzennej w metalu. Postanowiłem też spróbować swoich sił. Nie wziąłem udziału we wspólnej zabawie robienia kolosalnych, sprawnych konstrukcji, tylko zrobiłem coś własnego: znicz. W olbrzymią czaszę z brązu wtopiłem stalowy wąż. Wyglądało to efektownie, niż potrafię opowiedzieć. I choć moja praca nie mieściła się w założeniach pleneru, została wysoko oceniona przez krytyka Federowicza z Krakowa.

Od tej pory, przez osiem lat, zrobiłem łącznie osiemset prac. Oznaczało to od 1000 do 1500 godzin rocznie spędzonych w pracowni. Wybrałem metal, bo znam jego strukturę, umiem go obrabiać. Podobnie jest ze szkłem i węgłem, w których też rzeźbię. Znajomość materiału, dobre warunki do pracy, wreszcie mała konkurencja — to są moje atuty.

Początki pracy były bardzo trudne, musiałem przełamać niechęć własnego środowiska robotniczego do tego, co robię. Było wtedy słychać głosy: „Co ten wariat robi?”. Teraz może nie jestem chwalebny, ale na pewno jestem wśród kolegów — robotników tolerowany.

W dorobku mam kilka ważnych dla mnie nagród zdobytych między innymi w ogólnopolskim konkursie pn. „Sport w sztuce” w Zielonej Górze oraz w Warszawie w 1979 roku, w ogólnopolskim konkursie rzeźby „Przyjaźń” w 1983 roku. Obecnie, w ogólnopolskim przeglądzie pt. „Dzieło rąk” we Wrocławiu, dostałem dwie pierwsze nagrody za płaskorzeźby i prezentowane wyroby artystyczne ze szkła tęczowego. Miałem też kilka wystaw indywidualnych na terenie województwa zielonogórskiego i w Forcie w NRD. Teraz 66 moich prac zostało pokazanych na wystawie — w Galerii Mała Zachęta w Domu Budowlanych we Wrocławiu.

Pracując kierując się instynktem. Nie kopiuję żadnego rzeźbiarza, żadnego kanonu. Moją ambicją jest zrobienie własnej jasieńskiej kultury regionalnej. Tworząc swe płaskorzeźby opieram się na wykopiskach lużyckich z Wiciny. Marzy mi się, aby swemu miejscu zamieszkania i pracy, przede wszystkim pracy artystycznej, nie być przypisanym tylko terenowo, lecz przede wszystkim kulturowo.

— Pańska pracownia mieści się w budynku Robotniczego Ośrodka Kultury w Jasieniu. Jest to zastanawiające, a jednocześnie bardzo pouczające, że w czasach, gdy większość zakładów pracy rezygnuje ze swych domów kultury, placówka jasieńska rozwija swą działalność.

— Rzeczywiście, zakłady pracy coraz częściej nie chcą uczestniczyć w organizacji życia kulturalnego. Na szczęście sytuacja Jasienia jest zupełnie inna: na pewno ważny jest fakt, że dyrektor „Zrembu”, inżynier Ryszard Bujacki, jest jednocześnie przewodniczącym Rady Programowej Robotniczego Ośrodka Kultury i prezesem Jasieńskiego Towarzystwa Kultury. To połączenie funkcji narzuca pewną odpowiedzialność za los podległej placówki. Wśród działaczy Jasienia panuje dobra, twórcza atmosfera, która — oby trwała jak najdłużej. Poza tym ROK mieści się w tym samym budynku co Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury i udana współpraca obydwu instytucji wiąże się z tym, iż kierownictwo skupionego w rękach jednej osoby, Bogdana Zbyszewskiego.

Musimy uściślić pewne kwestie finansowe: Fabryka Maszyn Budowlanych łoży na utrzymanie obiektu, opłacenie sprzątaczkę i magazyniera, czyli mnie (jestem zatrudniony w ROK-u w niepełnym wymiarze godzin). Zdarza się, że „Zremb” robi tzw. zakupy: ostatnio zakład ofiarował domowi kultury komputer. Natomiast utrzymaniem GOK-u, wydatkami związanymi z działalnością kulturalną i placami pozostałych pracowników zajmuje się Fundusz Rozwoju Kultury.

Nasz Ośrodek nie może narzekać na brak gości, widzów i słuchaczy. Podobnie na dużych, otwartych imprezach



Stanisław Wesołowski: — Moją ambicją jest zrobienie własnej jasieńskiej kultury regionalnej

Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

mamy zapewnioną publiczność. Można powiedzieć, że Jasień to ZREMB a ZREMB to Jasień.

Wracając do kwestii pracowni metaloplastyki — w pewnym sensie nie miałaby ona racji bytu, gdyby nie pomoc macierzystego „Zrembu”, a także Fabryki Mebli w Jasieniu. Korzystam ze wszystkich urządzeń obydwu zakładów, czasem — z materiałów. Choć, muszę też radzić sobie sam. Wszystko jest drogie — brąz, mahoń, czarny dąb, heban czy antracyt. Dlatego dużo swoich prac sprzedaję.

— Czy Pan ma następców?

— Raczej nie. Prowadziłem sekcję metaloplastyki. Bywało, że przychodziła młodzież, której poświęcałem dużo czasu, ale po roku, dwóch — odchodziła. Młodzi ludzie dopiero szukają własnej drogi. Teraz wspólna praca z kimś drugim odbywa się na zasadzie dobrowolności. Tak jest w przypadku kontaktów z moim rówieśnikiem, panem Szykiem, który robi zabawki, ale chce zająć się rzeźbą ludową.

— Będzie Pan reprezentantem środowiska lubuskiego na III Kongresie Towarzystw Regionalnych. Czego osobście spodziewa się Pan po tym forum?

— Od 10 lat należę do Jasieńskiego Towarzystwa Kultury i tyleż lat jestem członkiem jego zarządu. Poza tym już drugą kadencję wchodzi w skład Rady Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Zostałem wybrany jako jeden z 11 reprezentantów towarzystw regionalnych województwa zielonogórskiego na Kongres w Poznaniu. Czuję się zaszczycony tym wyróżnieniem. Czego oczekuję po spotkaniu? Ograniczę się do roli obserwatora. Być może plastycy z innych regionów Polski przedstawiają ciekawe propozycje, które będzie można wykorzystać w naszej pracy w Jasieniu.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:

MAŁGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

Z wystawy jubileuszowej Stefana Słockiego otwartej staraniem Towarzystwa Przyjaciół Zielonej Góry w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Zielonej Górze.

Obrona poety

Nasza dla poetów i poezji niesprzajające czasy. Prozaikom wiedzie się nie co lepiej, bo oni zapewniają wydawnictwom dochód. A poezja? Spychana jest na margines. Osobiście poezję ze wszystkich ludzkich zajęć stawiam najwyżej. Nie lekam się posądzenia o nieatrakcyjność poglądu. Cnota doceniając każdą rzetelną ludzką pracę czy to rolę, inżyniera, lekarza, murarza, to jednak uważam, że bez przekazywania doświadczeń duchowych, bez ich artystycznych zapisów, człowiek nie jest dzisiaj w stanie zrozumieć sensu własnego życia. Bliższy jest mi ten, który mówi, że bez poezji, bez sztuki nie byłby możliwy pełny rozwój społeczeństwa. A dotyczy to, może jeszcze w większym stopniu, zwłaszcza społeczeństwa, które zasiada przed ekranami monitorów komputerowych, które zamierza automatyzować produkcję przemysłową. Bowiem w przyszłości — wierzę w to — zachowanie indywidualności, duchowości własnego wnętrza, będzie możliwe już tylko dzięki formom poezji, formom sztuki, o których dzisiaj nie potrafimy jeszcze nie sensownego powiedzieć, bowiem nie jesteśmy nawet w stanie wyobrazić sobie ich kształtu, rozmiaru i znaczenia.

A dzisiaj? Dzisiaj ciągle tkwimy w niezdeterminowaniu — przynajmniej nie przyznajemy szczególne miejsce w społeczeństwie? Poeci modernistyczni bardzo doświadczeni przetrwali jakie upokorzenia i uderki ma artystom do za oferowania społeczeństwu zasklepiające się w przyziemnych ideałach konsumpcji, produkcji i handlu. A przecież — jak pisał Zbigniew Jerzyński — poeta pracuje na to, by ten i ów, doszczętnie nie zbaraniał, nie zrezygnował z wyobraźni, z myślenia i nie zagubił siebie samego nad kawałkiem chleba. Poeci i artyści, to dzisiaj ostatni altruści, ostatni, bezinteresowni wizjonerzy,

którym jeszcze coś bardzo ważnego, w tych szalonych czasach, w „duży gra”.

Poezja dlatego jest czymś tak istotnym, ponieważ wyraża prawdę, której nie można sprowadzić do utylitarnych, dydaktycznych, politycznych sensów. Jest mową symboliczną, która przywraca wewnętrzną równowagę. Oczywiście (i nie obawiam się tego zarzutu) artysta nie ma bezpośredniego, sprawdzalnego wpływu na codzienną uciążliwą egzystencjalną, na bieg zdarzeń historycznych, na wyniki produkcji. Jakże niektórzy sądzą się. Pamiętajmy jednak, że tylko w poezji może nastąpić pełny zapis indywidualności, niepozwolenia życia człowieka. Jestem zdania, że jeden wiersz często więcej znaczy o danej rzeczywistości aniżeli tuzin nadętych artykułów publicystycznych, w które częstokroć autorzy nie wkładają odrobiny serca.

Powie ktoś: — fascynat. Tak. Irytuja mnie różnego typu ignoranci i cynicy, którzy są pierwsi, gdy przyjdzie o mieszyc poezję. Nie pomyślą nawet, że ów „nieudacznik” wypowiada się również za nich, broniąc ich godności, ich wewnętrznej autonomii. Już za Homera „bycie poetą” równoznaczne było z posiadaniem potencjału duchowego, o którym dzisiaj wiemy, iż jest przyszłością ewolucyjną gatunku homo sapiens. Taka też była wizja, jedna z największych w historii literatury polskiej, którą sformułował Norwid prorokujący, iż poeta właśnie, a sztuka najogólniej, będzie w ostatecznym rozrachunku wytyczać wielkie, ogólne cele, a zarazem nie oddali się od człowieka w jego trudzie, w jego błędach i w marzeniu.

Poeza. Jakże często mówimy o nim niesprawiedliwie, kiedy uznajemy go za kogoś oderwanego od świata. A mo że właśnie on tkwi w świecie najgłębiej? Tylko, że widzi ten świat inaczej,

bardziej ostro, nawet nadwrażliwie, nawet na pograniczu uwikłania się, w pewnym momencie, w chorobę psychiczną czy degradację obyczajową. Być może nawet to, co mówię, wzbudza ironiczny uśmiech powątpiewania. Czy aby nie wyolbrzymiam całego zagadnienia? Proszę mi jednak powiedzieć, kto jest gotów aby za efekt wyrażania własnego „ja”, za wypowiedzenie tego co autentycznie boli, przetrza, zapłacić tak wysoką cenę. Powiedzmy i tak: straszliwą cenę, bo jest to również cena głębi bokiego nieprzystosowania (Bursa, Wojciech, Stancura, Milczewski-Bruno i wielu innych) do wymogów siunkcjonalizowanego, racjonalizowanego społeczeństwa. Bo jest to również cena samotności (według Miłosza warunkującej twórczość), gdyż tak naprawdę poeta zawsze jest „odmieńcem” w społeczeństwie, a „odmieńca” wyrzuca się — jak brzydkie kaczątko — na margines, aby nie męczył spokoju.

„Bycie poetą” wiąże się ze szczególnie odczuwanym ciężarem życia, a na to nie każdy potrafi się zdobyć, nie każdy bowiem na co dzień potrafi obcoować z boiem doświadczenia. Toteż wspólnie już tylko artysta jest odczuwaczem wielkiego ludzkiego obowiązku „życia nie samym chlebem”, nie samą biologią. Poezja będąc podmiotowym aktem humanizacyjnym, jest w stanie nie tylko oprzeć się chaosowi świata, ale też ciągle na nowo odbudowywać duchowy związek ze światem. Inaczej mówiąc (tak ujmował rzecz Przybysz) może odnawiać sens świata. Ale wspólnie jest jakby coraz mniej miejsca dla tego typu rozważań. Jesli kiedyś mówiło się o „powołaniu”, „poswieceniu” pisarskim, to dzisiaj pojawiają się i niebezpiecznie zwierają szeregi, generacje wytwórców tekstów, o bardzo doradnym, utylitarnym znaczeniu. Trudno oczekiwać, aby tego typu tendencji do „sławy i chwały”, mogli i chcieli zastanawiać się nad sprawami ducha, nad sięganiem ideału.

Czy pozostaje nam tylko godzić się na taki stan rzeczy? Dobrze byłoby, gdyby nasze myślenie i działanie zasilili idee i pomysły o maksymalistycznym wymiarze.

CZESŁAW SOBOKOWIAK



Z MIŁOŚCI

Plakat w tonacji granatowo-błękitnej przedstawia ludzki płód, napis: „Matko nie zabijaj”. Mocna, wyrazista propaganda. Mocne słowa. Ale nikt nie ma licencji na mądrość, nawet jeśli ma kontakty z Bogiem.

Pegeerowska wieś, gdzieś na Ziemi Lubuskiej. Nie ma tu w zasadzie nikogo poza rencistami, emerytami i pegeerowskimi. Jan S. też jest pegeerowskim. Niski, uroda poniżej przeciętnej, cecha charakterystyczna — „nie ma chęci do roboty”, zarobek 10 tysięcy złotych, w porywach do jedenastu. Tego nieciekawego mężczyznę wyróżnia jeden szczegół — pobiera w zakładzie bardzo wysokie rodzinne. Ten mało wydajny pracownik jest ojcem piętnastu dzieci. W dniach wypłaty Jan S. obchodzi święto. Po tym szczególnym dniu bywa i kilka dni nieobecny w pracy. Później jakoś udaje mu się wrócić, bo choć robi mało ale zawsze coś, zawsze jakieś to ręce do pracy, no i w końcu ma dzieci. Po święcie wypłaty Jan S. uczęszcza niechętnie do pracy, ale za to po pracy bardzo chętnie jeździ na ryby. Pobliskie jeziora gwarantują wędkarskie emocje.

Jadwiga Z. jest kobietą 25-letnią ze śladami minionej urody, opuchniętymi nogami i często podbitym okiem. Nie pracuje, jest przy dzieckach. Trzy miesiące temu znów urodziła. Z Janem S. łączy ją miłość i piętnaścioro zrodzonych z tej miłości dzieci. Właściwie w tej chwili dzieci jest dziesięć, gdyż pięć z nich zabrano do domu dziecka.

Pegeerowscy nie wtrącają się do rodzinnych spraw Jan i Jadwiga. Obserwują jedynie. Jedni ze współczuciem dla niej i dla dzieci, inni z ironicznym uśmiechem. Tak, uważają, że nie jest to normalne, ale w końcu to nie ich sprawa.

Dzieci chodzą brudne i zasmarkane. Mają ubranka jednorazowego użytku, tzn. chodzą w nich tak długo, aż się nie rozleci, a dobrzy ludzie podrzucają coś nowego — używanego. Potomstwo Jana S. zajmuje się właściwie samą sobą. Odbija się to na zasadzie, to które już umie chodzić zajmuje się tym w wozku. Pięcioletnie dziecko pełni już obowiązki dorosłej niańki. Najstarsze z mieszkających wspólnie dzieci, dziewczynka, ma dwadzieścia lat. To już dorosła osoba tyle, że o ograniczonej poczytalności. Taka dwunastoletnia dziewczynka może już wykonywać kobiece zadania w domowym gospodarstwie, bo męskie wykonuje Jadwiga Z. Rąbanie drewna na opał, naprawa ciekającego dachu, pożyczanie pieniędzy, to wszystko jest na głowie Jadwidze Z. Pieniądże pożyczka dyskretnie, tak żeby Jan S. nie wiedział. Pożyczają jej chętnie, bo przynajmniej w ten sposób mogą ulżyć kobiecie i dzieciom. Jadwiga S. zawsze oddaje, choć nie zawsze może wywiązać się z umówionego terminu.

Jan i Jadwiga uwili sobie miłosne gniazdko w budynku, który okres świetności przeżywał jeszcze przed wojną. Właściwie zajmują połowę tego budynku, a do ich połowy należy kuchnia z pokojem i połowa podwórza. Gdy w najbliższej przyszłości mieszkańcy drugiej połowy domu przeprowadzą się do nowego bloku, Jan i Jadwiga zajmą cały budynek, to jest jeszcze jeden pokój i jeszcze jedną kuchnię. Następne dzieci, które przyjdą na świat, będą już miały całe podwórko. Przez pewien czas mieszkali w sąsiedniej wsi, ale tam było jeszcze gorzej i ciśniej. Jan siedział w więzieniu, gdy tam mieszkali. Do stał rok za złodziejstwo. Był to ciężki rok dla Jadwidgi. Pocieszała się jak umiała, przeważnie winem owocowym i podejmowaniem męskiego towarzystwa. Wtedy ktoś nie wytrzymał i nadszedł komisję. Pięcioro dzieci zabrano do domu dziecka. Może był to dla nich uśmiech fortuny? W tamtej wsi mieszkali źli ludzie i gdy Jan wyszedł na wolność przenieśli się pięć kilometrów dalej. I tak żyła miłością oraz rybami.

Adres Jana i Jadwidgi redakcja z chęcią udostępni wszystkim przeciwnikom kontroli urodzin.

ANDRZEJ KOTERSKI

Sceny miłosne w literaturze pięknej

Rafał Koterba nie widział jeszcze w swoim młodym życiu żadnego gabinetu, wylaczając pomieszczenia urzędników, sądził, że ujrzyć powinien pokój, w którym można odpocząć, regenerować siły i przede wszystkim pracować twórczo. Lecz to, co rzeczywiście ujrzał — przerastało jego skromne wyobrażenia. Dwie ściany, od sufitu do przepięknych dywanów, zajmowały regały, na których z pedanterią ułożono książki, co automatycznie musiało go porazić, nie więc dziwnego, że z miejsca tam podbiegł. Literatura piękna, ale przede wszystkim te pozycje, które na rynku księgarskim dla zwykłego czytelnika w ogóle nie były dostępne. Kilka półek — jak sądził wypadło po zewnętrznych oprawach — zajmowały starodruki! — skąd on to ma?! — wybuchnął naraż z wściekłością. Wyciągnął na chybił trafił jedną z książek. Przekartkował. Stronice oporne się temu poddawały. — Nie są one czytane! — stwierdził. Agata Gajdek, usiadłszy na narożnikowej kanapie, zarzucając ją zwykłe nogę na nogę (ach te nożki!), i zabawiając się zachowaniem Koterby, powie: — Daj sobie z tym spokój! Tutaj żadna książka nie tylko że nie była czytana, ale również nie była dotąd przejrzana. — To są botaż! — Stać wujka na to — odpowie od niechcenia, poprawiając niesforne włosy, opadające na czoło. Przybliżył się i usiadł obok niej. — A mojej książki nie ma! — jakby z zadowoleniem powiedział. Ona skinęła głową: — Jest. Tylko, że na specjalnej półce z autografami... — i momentalnie urwała. Reakcja Koterby: — Co dalej chciałaś powiedzieć? Dlaczego zamilkłaś? — w oczach jego zamieszanie. Agata z rezygnacją w głosie: — No tak! Wypalałam się. To chyba przez ten wypity koniak... Spojrzał na nią. No cóż, była to ładna kobieta, mogąca się każdemu mężczyźnie podobać, a jeszcze wówczas, kiedy jest się z nią sam na sam... Nie chciał o tym na raz myśleć, mimo że rosło w nim podniecenie a jej zgrabne nogi absorbowaly jego wzrok. Starał się skupiać swoją uwagę na wypowiedzianych przez kobietę słowach, lecz nie to, prawdę powiedziawszy, nie dawało. On oczami rozbierał permanentnie te kobiety. — Proszę, powiedz mi — wyszeptał w końcu, siłując się po raz któryś aby opanować rozbudzone podniecenie — o co tutaj chodzi... Siedziała bardzo blisko, czuł ciepło jej ciała, zapach perfum, makijażu. — Może cię nie to urazić — powiedziała. — Mnie tutaj nie już nie może urazić — odparł, robiąc taką minę, jakby w sobie miał całą gorycz świata. — Chodzi o twoje zaproszenie na dzisiejszą uroczystość — zaczęła zrazu lekliwie. — Oczywiście, że inspirowałam przy układaniu listy zaproszonych gości ze strony Legomskich była Małgorzata, ale w praktyce głos należał do mojego wujka, in westującego wesele przeszło czterysta tysięcy. Więc, gdy wujek beczceremialnie miał zamiar wykreślić twoje nazwisko, Małgorzata, jak tonący chwytający się brzytwy, szepnął: „On wydał książkę”. Wujek natychmiast każe wołać swego sekretarza. „Jest taka książka?” — odpowiada przybyły sekretarz, notabene, absolwent k-o, i zaraz ją przynosi. „Nie mam autografu!” — bez radnie mówi wujek. Przeprasza Gośkę i obok twojego nazwiska stawia dwa wykrzykniki i krzyżyk. Oznacza to, że na weselu będziesz dwa dni i on sam będzie musiał z tobą osobiście porozmawiać... — Położył głowę na oparciu kanapy. Nie chciał w to uwierzyć. Z pewnością ta prywatniara kpi z niego. — Byłam tego świadkiem — ona powie, widząc w jego oczach niewiarę. A potem wszystko tak się stanie: uśmiechając się, ułoży głowę na jego ramieniu, a wtedy on, delikatnie okreciwszy jej głowę ku sobie — pocałuje kobietę w usta. Ona odważymy się, ale zaraz pospiesznie go odrzuci i wstanie: — Zamknij drzwi — powie. To tyle, ale jakie dużo! On będzie się zastanawiał lekko zaskoczony, czy powinien już odpuścić pasek, opuszczać spodnie, ale kobieta bardzo szybko powróci i położywszy się na kanapie pociągnie go ku sobie. Zwalił się na nią całym swym ciężarem, zaś jego ręce z miejsca zaczęły błądzić po ciele kobiety, dążyć przede wszystkim tam, w jej kobiecość. Wyczuł, jak ona coraz bardziej mu się otwiera, poddaje, nawet jakby ponaglała ze znajomością rzeczy. Ale i jest jej nagle zduszony szep: — Zaczekaj, zdejmę sukienkę. Boże, zaczekaj, jeszcze, moment — więc on będzie musiał unieść się nad nią a ona dość sprawnie pozbędzie się sukienki i majteczek; tylko na jej długich, zgrabnych nogach, jak kątami oka dostrzeże — pozostaną pan tofelki na wysokich obcasach... Wtopił się w jej ciało. Zachłystnął się odurzony jej zapachem i, jakby na moment zawałował się. Męskość jego znów nie była aż tak naprężona. Musiał pomać sobie ręką, by wejść w Agatę dostatecznie. Tak, bał się cholernie. Przebiegał przez jego ciało impuls niewiary: wypyl sporo alkoholu, a miał w swej praktyce i taki już przypadek, kiedy będąc pijany, nie potrafił w żaden sposób sprostać podnieconej kobiecie... I to jakby go zmroziło. Agata, oddana mu już w pełni — jakby wyczuła zakłopotanie partnera — uniosła swe nogi wyżej, w powietrze, nad jego wychudzionym tyłkiem, że on, obejrzawszy się teraz kątem oka dostrzeże ich przecudną linię, a w świetle palącej się lampki uda Agaty ostatecznie musiał wywołać zachwyt, pobudzić jego stygnącą męskość. I Agata poczęła rytmicznie się unosić. Mruzczała. Ręce swe za cisnęła na jego pośladkach. Weisłała go w siebie. — Ty mu...sisz, ty... tak, tak, rób tak, jeszcze tak, no daj, o tak, tak Rafałku, o tak... — i ten jej szep, rytmiczny, taneczny, melodyjny, kochany, upragniony, konieczny, miłosny, zachłystujący, pełny, ładny, nie, brzydki, nie, najukochanszy, śpiew — ogłuszał go, i to aż tak dziwnie, że im bardziej szepł ów rozumiał, tym więcej stawał się mężczyzną, herosem pełnym nieopisanego szczęścia. To nieprawdopodobne, jak szybko zaczęło się to wszystko dziać. Brak powietrza. Brak tchu. Brak siły, już. Nie, jeszcze, ostatni raz, jeszcze troszeczkę, raz jeszcze spróbować, dlaczego opuściłaś nożki, dlaczego, i dla czego teraz krzyczysz, że nie, że nie, nie, nie, co to ma znaczyć, Agatko, Agatko, kocham... Jednak nie było już żadnej siły, by móc odgarnąć zlepię nie potem włosy znad czoła. I w to musiecie uwierzyć. Tylko dużo potu na ich nagich ciałach. (...) dy obudził się, kobiety już nie było.

G

Leżał nagi w półświecie lampki. Z dołu dobiegał do jego uszu rumor muzyki i weselnej zabawy. Pobierał się szybko i zszedł na dół. Poczł głód. W bufcie spotkał dryblas, te go, co tak skrupulatnie sprawdzał przed wejściem do wili zaproszenia. Uśmiechnął się teraz do Koterby. Zapropnował wypicie wódki. — Chciałbym ponadto coś zjeść — odpowiedział Koterba. Dryblas nonszalancko nachylił się ku nie-

RADYWAŃSKIE BIEŻĄCE WAPSTWIE

Zbigniew M. Jelinek

siła — odpalił sucho, chcąc uciśzyć zachwyt dryblas. — Sam przecież wiesz, że i ja tutaj jestem specjalnym gościem. — Ale w rozdzielni masz zestaw drugi. A to pierwszy! — powiedział, kłapiąc go po ramieniu (...). — Chcesz siusiu? To leć do tej palmy w rogu! — zakomenderował bełkocząc dryblas. Bardzo szybko wódka uderzyła mu do głowy. Byli dopiero po kilku kołajkach, w butelce, którą dryblas postawił po skonsumowaniu jedzenia, była jeszcze ćwiartka wódki. — Nie złożyłem jeszcze życzeń pannie młodej! — wysapał nieco zmieszany Koterba. Posłyszal rech: dryblas. — Na bogu! Ależ opamiętałeś się! Wiesz, która godzina? Pierwsza nad ranem! I zgodnie z obyczajem naszych ojców, panna młoda i pan młody razem w łóżeczku noc poślubną uprawiają! No, ale ty będziesz miał na przyjemność — nadmienil dryblas, powracając do rozlewania wódki. Małgorzata. Jakże jest łatwo wyobrazić sobie, co może w tej chwili wyrobić w łóżku z tym Leonkiem. Z pewnością on, pobudzony alkoholem, depcze jak wieprz ciało jego Gośki, jak wieprz, do cholery! Tak! Depcze! A ona? Czy płacze? Krzyczy? Bezsilna? Kochana Gościu, czy myślisz o mnie? Trzy lata z sobą byliśmy razem, Gościu! Ten wieprz ciebie depcze! Zrzuć go z siebie, zwal tego gnojka, śli ni się cały, nawet nie potrafi ciebie delikatnie pocałować, objąć, przytulić! Wywał go z siebie i przybądź do mnie! — Wywał go! — krzyknął niespodziewanie na głos. Dryblas spojrział na niego z zakłopotaniem. Nic nie odpowiedział. Do pokoju wszedł jeden ze służby porządkowej. Zwrócił się do Koterby, recytując szybko: — Pan to ten poeta? — Gospodarz pana prosi. Proszę iść ze mną! Wstał ociężale. Zachwiał się. Dryblas uśmiechnął się tylko. Co oni w końcu knują?...

P

rzekonany był naraż, że oto nadszedł już czas rozmowy z gospodarzem, tym chrzanionym ogrodnikiem, a co za tym idzie, będzie on musiał opuścić ten dom weselny... Wyszedł z porządkowym. Przy schodach do górnych kondygnacji wili natknął się na Agatę Gajdek. Była w towarzystwie mężczyzny, który całym swym ciężarem, beznadziejnie opierał się o barierkę schodów. — Hej, mężu! — zwróciła się Agata do kiwającego się mężczyzny. — Poznaj człowieka, o którym się mówi... Zadnego spojrze nie. Koterba jest ciekawy, czy zdola on o własnych siłach pokonać schody. Agata westchnęła. Tamten skrzywił się i mruknął: — Po co te ce-regiele! — Dziękuję panu — powiedziała Gajdek do faceta ze służby porządkowej. — Tego pana ja sama już zaprowadzę... — uśmiechnęła się. Porządkowy skinął głową i odszedł uradowany. A ten ciągle kiwał się przy barierce. Powinienem zaraz wyrzucić w twarz, może pocięknę krew? maż Agaty. W normie. Ale Agata go zdradziła. — No to chodźmy wreszcie! — zażądała. Zaczekał, aż maż jej pierwszy wgramolił się na schody. Da radę, czy nie? Agata jednak musi mu pomagać. — Jesteś do niczego, cholero! — ziry-towała się. Koterba jest ciekaw, czy napomknie ona choćby słówkiem, co między nimi zaszło. Może starać się będzie usprawiedliwiać? Czy to dziwne? Nie. A może... Przyglądał się jej. Za-

uważała to. Uśmiech zakłopotania. Poprawiała opadające na czoło włosy. Parsknął śmiechem. Mu siała się zdziwić. — Przepraszam — powiedział. — Przyszła mi do głowy bardzo idiotyczna myśl... Nie odpowiedziała. Powinna się jednak domys-leć. Przed oczami miał jej odsłonięte plecy i zgrabny tyłek. Ponadto co chwila wyskakujące z rozcięcia sukni udo — więc napawać go to musiało powrotnie pragnieniem... Przy drzwiach pokoju, do którego zmierzali, stał gospodarz. — Serdecz nie zapraszam pana na pokaz niewinnych takich sobie filmików... — wyseplenil. Ucisnął rękę. Łapę miał spoconą. Weszli do środka. Agata z mężem naraż się od niego oddaliła. Koterba przykucał gdzieś z boku. Oczekiwano w napięciu na projekcję. Wyobraźnia dostarczała już nie spodziewanych emocji... Włączono projektor. Film w kolorze i jeszcze w dobrym stanie. Wzrok przyzwyczajał do ciemności. Wie, co będzie dalej. To jeszcze nie orgia, ale już jej przedsmak. Przecież nie spodziewał się, że zobaczy coś re-welacyjnego. Ale i prawdę mówiąc — gdy po-czął uważnie śledzić kadry filmu — nikt z je-go twarzy ów początkowy grymas. Przez ciało stopniowo poczęły pulsować nitki podniecenia. Któraś z kobiet, bliżej ekranu, krzyknęła: — Świ-nia!... Rozległ się ogólny rechot, jakby na rozluź-nienie. — Maca mnie! — obruszyła się. Partner jej spokorniał. Kolejny film. Bardziej rozbudo-wane sceny erotyczne, więc i podniecenie ros-

ło. Dotknął mokrego czoła. Przypuszcza, że i on wpada wolno w ową dziurę pożądania. Ale jest ciągle sam, bez żadnej kobiety. Któraś z par nie wytrzymała kolejnych kadrów filmu — wyszła pospiesznie z pokoju. Żegnana komentarzami o określonym pokroju. A on ciągle sam. Czyżby Autor powieści pragnął do granic wytrzymałości pastwić się nad swym bohaterem? A może chce zrobić z niego zbrodnicę? Przecież tak nie można! Ileż goliżny na ekranie! A jakie pozycje! Niechaj nasi krajowi specje, seksuolodzy, schowają się w piwnicy. To, co każą nam robić, to nadaje się wyłącznie dla przedszkolaków! Kochany Autorze, to ja, twój Rafał Koterba, proszę Cię bardzo, z całego swego rozdygotanego serca: nie męcz mnie, spraw mi wreszcie przyjemność. Daj mi kobietę! Tu, do tego pokoju. Spójrz swym wzrokiem prozaika, co tu się dzieje: spazmy wokół, postękiwania, jedni jawnie już się gniotą! O, a ten wsadził głowę pod sukienkę partnerki! — Gospodarz aż cały zadowolony — ręce zaciera, ramiaś na ekran, gnojek, z lubież-nością zerka na widzów, woli z natury, albo, on już sam nie może? Daj mi kobietę, Autor! Nie mogę ja ci wytrzymać! Co się tam dzieje, na tym fantastycznym filmie?! Boże, jak ja chciał-bym być z tymi aktorami! Tam, a nie tutaj, wśród odgłosów postękiwania. Ach, jak oni rą-bią te dziewczęta! Murzyni nawet... Kochany Au-torze, nie męcz mnie, nie mogę już. To co dzieje się na tym migocącym ekranie, to nawet niebo szczyka pobudzi do zmartwychwstania. Autorze, stoi mi, nie wstydzę się tego wyznać. Stoi mi do granic wytrzymałości. Daj mi kobietę! Och, jakie ogromne członki oni mają, a czemuż ja takiego nie mam?... Czemuż?...

K

toś go z lekka potrącił. Obejrzał się i chyba jednak nie chciał uwierzyć: ni stąd, ni z owąd przysiadła się Agata, właścicielka butiku w centrum miasta. Myślał przecież o niej. Czyż by i ona o tym samym? Rzykuje prywatniara. Więc on, co tutaj się zastanawia — z miejsca zaczyna wsuwać swoją rękę pod jej sukienkę. Prze naprzód. Agata sprawnie rozsu-wa kolana. Na ekranie klebowisko ciał, goliżny i narządów. Jest bardzo duszno. — Je...zu — i zdławiony szep Agaty. Ręka jego wolno zame-nia się w barbarzyńcę. Jest już tam, gdzie po-winna. Wyczuwa wilgotne owłosienie. — Też coś! — krzyk mężczyzny. — Ja to potrafię le-piej. Chodź, Krycha, idziemy! — mężczyzna po-ciągnął za sobą siedzącą nieopodal niego kobie-tę. Kierowali się do wyjścia. Przechodzić będą koło nich. Pospiesznie musiał wyciągnąć więc swo-ją dłoń spod sukienki Agaty. Ta spojrziała na niego z wyrzutem. Uśmiechnął się przepaszająco. Ca-ły był spocony. Ogrodnik puszczał już ostatni film. Koterba na powrót wsunął rękę pod sukie-nkę kobiety. Agata momentalnie otworzyła się. Był już bez majteczek. Pomyślał nawet, jak to sprawnie zrobiła, no i gdzie je ukryła? Pałca-mi ręki wtapiał się w gąszcz owłosienia. Wcho-dził głębiej... Jeszcze... Jakże jest tam ciepłutko! Człł ją całą, i to tak, że wystarczy nawet lekkie zadrganie palca, by ciało Agaty odważemnio się tym samym. Poczł jej rękę na swojej na-prężonej męskości. Nie wiedział nawet, kiedy A-

gata do niego się dobrała. Już nie spoglądał na ekran. Przymknął oczy. Ostatnią rzeczą, którą mógł spoznać, to była własna ręka Agaty łu-miąca ni to krzyk, ni to westchnienie wy-jostające się z ust kobiety. On również z wielkim trudem musiał powstrzymać się od wydawania głosiętszego okrzyku. I na tym był koniec. I koniec filmu także. Nie będziemy wspominać o mokrej plamie na jego spodniach. (...)

P

oczł fałę senności. Przypomniał so-bie o istnieniu drugiej wili, w któ-rej mógł odnaleźć atmosferę wytch-nienia i spokoju. Musiał tam koniecznie iść. Więc, kiedy był na koryta-rzu, natknął się na znajomą kelner-kę. Coś wybkąknął, zaraz usłyszał jej głos: — Nie jestem Agatą... Przerwał jej ostro: — Ciągłe ro-bisz ze mnie balona! Najpierw nie jesteś Iwoną, a teraz Agatą! Kimże w końcu jesteś?... Milcza-ła. Dotknął ostrożnie jej ramienia. Stał bardzo blisko siebie. On, chcąc uniknąć kłopotliwego milczenia, pospiesznie zapytał, czy mogłaby wska-zać mu miejsce do spania, a powiedział to tak, że nie trudno było wynioskować, iż chętnie widziałby ją razem z sobą w łóżku. Cofnęła się: — Zupełnie to proste — rzekła. — Potrzebna pa-nu cizia?... Spojrzał na nią z zakłopotaniem. W pierwszej chwili nie zrozumiał, że taką pro-pozycję ośmielił się wypowiedzieć. Zatem jakimś rozpaczliwym ruchami dłoni począł zatrzy-mywać odchodzącą w tej chwili dziewczynę. — Jestem pijany — stwierdził na koniec. — To wi-dać!... Wyciągnął papierosy i poczęstował dziew-czynę. A ona, gdy kilka razy zaciągnęła się gę-boko, powiedziała: — Zaprowadzę pana jednak na ten nocleg... — Mam na imię Rafał — odrzekł, nie chcąc słyszeć ciągle tego „pana”. — Wiem... — ystrój tej wili, do której weszli, nie różnił się niczym od poprzedniej.

W

Dziewczyna kazała, aby zczekał tu-taj na nią, a ona rozejrzy się za wol-nym miejscem do spania. Było wszę-dzie cichutko, słabe światło tylko z kinkietów. Długo nie oczekiwał, bo zaraz dziew-czyna była z powrotem. Wyjaśniła, że przyszli za późno i wszystkie miejsca są już zajmowa-ne. Ujęła go za rękę (Boże, jakie to przyjemne uczucie!) i skierowała się z nim w dół, piw-niczne pomieszczenia wili. Otworzyła pierwsze z brzegu drzwi, ale zaraz cofnęła się, przepra-szając. Zawstydziła się. Przez jej ramię mógł uj-rzeć we wnętrzu pokoiku mężczyznę i kobietę, mającą wysoko uniesione, bardzo smukłe i zgrab-ne nogi. Oboje nadzy i w jednoznacznej sytua-cji... Następne drzwi były otwarte i nikogo w po-koju nie było. — Życzę spokojnej nocy — rzek-ła dziewczyna. Zatrzymał ją, kładąc dłoń na jej ramieniu. — Jesteś również bardzo zmęczona — powiedział. — Nie, Nie... — odparła, jak mu się wydawało nieco zmieszana. Podszedł do drzwi i przekręcił je na klucz. — Pan się zapominał — patrzyła na niego w oczekiwaniu. Wzruszył ra-mionami. — Uwierz mi, że między nami nic nie-będzie — wyszeptał. Nie wie, czy w to uwierzy-ła. Stała niezdeterminowana. On tymczasem zaczął się rozbierać. — Nie wiem — odparła. — Chy-ba nie wyglądam na człowieka bez honoru? — wsunął się pod pościel tylko w kąpielówkach. — Honor? Zależy, co przez to się rozumie — po-wiedziała bez większej skwapliwości. Ciągłe by-ła niezdeterminowana. Dopiero po kilku wydłuża-jących się w nieskończoność, minutach, odepchnął z ulgą, gdy zrobiła krok w stronę nocnej lampki. Zgasila ją, ale i tak w półmroku mógł wyraźnie widzieć dziewczynę. Patrzył beczelnie, jak się rozbiera. Z pewnością musiała czuć na so-bie jego męski wzrok. Kładła swe szmatki na jego, leżące na oparciu krzesła, ubranie, i w końcu — zupełnie naga! — położyła się obok niego, wyciągniętego jak struna. Momentalnie ob-jął ją ramieniem. Odepchnęła go natychmiast. — Uważasz mnie za kurwę? — prawie że krzyk-nęła. Nie! — zaprzeczył. — Jesteś tak bardzo ładna... — musnął ją niespodziewanie w policzek. — A gdzie pana honor? — wyrzuciła z siebie je-dnym tchem. — To silniejsze ode mnie... — Je-szcze jeden ruch z pańskiej strony — powie-działa — a wyjdę stąd natychmiast... — Mam na imię Rafał — raz jeszcze przypomniał. — Wiem — ucięła zdecydowanie. Kręcił mu się w głowie od wypitego alkoholu. Powstrzymywał się, by nie zwymiotować. Odeychał szybko. — Podam panu coś do picia — rzekła dziewczyna. Wstała. Uniósł głowę i znów beczelnie obserwował, jak naga czuwa szuka w szafce. Przezwit bezwzględnie nie uwiadniał cały kształt jej pośladków. W przypływie potęgującego się podniecenia chciał poderwać się z tapczanu i rzucić się na nią. Wszystko jedno, co będzie potem... Ale ona była już z powrotem przy nim. Wzgrórek miała zależe-ko owłosiony. Mógłby przysięg, że jeszcze takiego nie widział. — Dziewczyno! Ja przecież nie wy-trzymam... stęknął jakby z bólu. Bez słowa poda-ła mu do picia odkapslowaną butelkę pepsi co-li. — Jestem bardzo zmęczona, a to nie żadna przyjemność... — szepnęła z westchnieniem. Człł wyraźnie jej kobiecy zapach. Gdyby przekręcił bardziej głowę w bok, mógłby wtopić swe usta w jej dużą rozbudowaną kobiecość... Położyła się na powrót obok niego. Nie wie, czy był to tylko zwykły przypadek, ale przykrywając się, dotknęła jego naprężonej męskości. Zaciśnął się by. Objął ją mocno i położył się naraż na niej. Próbowała go z siebie zepchnąć, lecz chyba nie miała już tyle sił. Jednak uda ścisłała moc-no. Nie było żadnego dostępu. — Nie... proszę... — wydusiła ostatkiem sił. Zastygł. — Nie teraz. Odpocznijmy... — powiedziała łagodnie. Zsunął się z niej z rezygnacją. Gładziła jego spocone włosy. Objęła głowę i przytuliła ją do swoich małych, ale jednych piersi. Odczekał jeszcze chwilę i wsunął swoją dłoń między jej uda. Te raz je rozszerzyła. Pozwoliła, by ją tam gładzo-no. Pomyślał, że za chwilę stanie się to, co tak pragnie. Musi ją tylko najpierw popieścić... Ta kobieta zaczynała go fascynować. Chciał jeszcze coś do tego dodać, ale ogarnął go zaczął sen. Bronił się jak mógł, coż, kiedy było to silniej-sze od niego...

Zbigniew M. Jelinek ur. w 1933 r. w Zielonej Górze. Opublikował „Dział ogłoszeń” (powieść, Wyd. „Czytelnik” — 1984), „Ten mężczyzna z wiersza” (wiersze, Wyd. LTK Zielona Góra 1985), „Małe życie” (wiersze, Wyd. MAW — 1985). Należy do oddziału ZLP w Zielonej Górze.

Drukowane powyżej fragmenty pochodzą z powieści „Gry planszowe” złożonej do druku w Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”.



PRZYPOMNIENIE „SZPAKA”

Po letniej przerwie, wyciszeniu życia kulturalnego, w artystycznym tygryś znowu drgnęło. Galeria PSR prezentuje gwasze i pastele Mariana Szpakowskiego, zaś galeria „po” w Klubie Prasy i Książki — tegoż samego twórcy autoportrety fotograficzne, w wyborze i reprodukcji Leśka Krutusińskiego-Krechowicza.

Marian Szpakowski zmarł 1 września 1983 r. Do Zielonej Góry przyjechał w 1954 r. jako stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki. Krakowską Akademię Sztuk Pięknych ukończył w pracowni prof. Rudzkiej-Cybisowej. Niewiele minęło czasu, a Szpakowski stał się jednym z twórców życia społeczno-kulturalnego miasta. W chwili tworzenia zielonogórskiego ZPAP wszedł w skład zarządu, a od 1961 roku był jego wiceprezesa. Szybko został dostrzeżony jako plastyk, był współorganizatorem grupy „Krag”, do której należeli m.in. Adam Falkiewicz, Klemens Felchnerowski, Kazimierz Rojewski i wielu artystów plastyków z Krakowa, Wrocławia, a także Londynu. Grupa prezentowała swoje prace na dziesięciu wystawach w kraju i za granicą.

Z pomysłu Szpakowskiego zrodziła się ogólnopolska impreza plastyczna „Złote Grono”, z udziałem najwybitniejszych teoretyków i historyków sztuki. Dwie spośród nich miały charakter międzynarodowy. Początkowo, w niemiłym programie, proponowano zorganizowanie w Zielonej Górze ogólnopolskiej wystawy malarstwa, grafiki i plakatu pod wspólną nazwą i Salonu Plastyki „Złote Grono”. Wystawa, uzupełniona licznymi prelekcjami o charakterze naświetlającym rozwój plastyki polskiej w różnych dyscyplinach, miała umożliwić kontakt ze sztuką społeczeństwu lubuskiemu. Termin wystawy i prelekcji zbiegał się z Dniami Zielonej Góry. Dwie pierwsze imprezy odbyły się zgodnie z pierwotnymi założeniami, jako rozległy przegląd dorobku współczesnej sztuki polskiej, uzupełniony w 1965 roku udziałem w ekspozycji grupy twórców zagranicznych. Jednak dopiero III Sympozjum, o bardzo skonkretyzowanym programie, przyniosło rezultaty dorównujące podobnym eksperymentom w Elblągu i Puławach. Było poświęcone integracji sztuk w as-

pekte nowoczesnego kształtowania przestrzeni. Wydarzenie przysądzało o wyjątkowej wadze III „Złotego Grona” okazała się ekspozycja „Przestrzeń i wyraz”, obejmująca ciąg kilkunastu pomieszczeń, oddanych poszczególnym autorom lub grupom autorów do zaaranżowania przestrzennego. Było to pierwsze w Polsce założenie eksperymentalne na wielką skalę. Przypadkiem bez precedensu było wyznaczenie artystom zadania i stworzenie im warunków do rozwiązań wypływających z ich indywidualnych temperamentów i skłonności. Ta przygoda wywarła miało miejsce w 1966 roku i wprowadziła artystów w nieznaną jeszcze obszar doświadczeń. W ostatecznym rezultacie III „Złote Grono” miało znaczenie nie tylko zaplanujące, ale zaowocowało realizacjami niezależnymi i autentycznymi. Następne sympozja — 1969 i 1971 — nie dorównały już walorom intelektualnym III „Złotego Grona”. W IV Sympozjum uczestniczyło dziesięć najwybitniejszych krytyków. Każdy przedstawiał zespół uwag i prac szczególnie przez siebie cenionych artystów. Tak powstała wystawa ujawniająca postawy i kierunki działania.

Z osobą Mariana Szpakowskiego związane są estetyczne zagadnienia rozwoju przestrzennego Zielonej Góry, ponieważ pełnił on funkcję plastyka miejskiego. Ponadto był członkiem Komisji Artystycznej Wydziału Kultury i Sztuki. Tak niezwykłą aktywność wspierał autorytet malarza. Szybko wyzwolił się z kanonów akademizmu, a od razu jako twórca nowych środków wyrazu artystycznego. Rezygnując z koloru, w rzeczywisty pejzaż wprowadza struktury rzeźbiarskie. Te działania doprowadziły Szpakowskiego do form abstrakcyjnych.

Oto czas na chwilę refleksji. Wejźmy do Galerii PSR, prezentującej 16 prac Szpakowskiego z lat 1958—1960. „Monotypie kolorowe potwierdzają konstans między teorią i praktyką. Autor zaciera granice między malarstwem a grafiką, integruje je. Jego malarstwo, to jakby układy urbanistyczne-monocromaliczne piaszczyny pocie się ciągną w ciemnej, ujednolitej tonacji o fakturze reżer. Niektóre prace, to świat zatrzymany w czasie, bryły geometryczne uprzedmiotowione, czytane przez kontur. Ciepły urok malarstwa dla Mariana Szpakowskiego, podobny jak dla Mariana Bogusza, Kajetana Sosnowskiego czy Piotra Potworowskiego, polegał na ciągłym rozszerzaniu przestrzeni, w której zaistnieć może każdy fakt artystyczny, każde wydarzenie. Tak, stosunek do malarstwa może mieć ktoś wewnętrznie zorganizowany, o ascetycznej więzi dyscyplinie. I takim właśnie jawi się Marian Szpakowski, w swoich pracach, w wyciszonej atmosferze wnętrza Galerii PSR.

Zastanawiam się, na ile prawdziwe są twarze pokazane w Galerii „po”. Leszek Krutusiński-Krechowicz wybrał z ogromu negatywów kilkanaście portretów Szpakowskiego. Twarze jak z socrealistycznych postumentów — mocna, sugestywna, odporna jak cios kamienny, gdyby nie oczy niespokojne, ruchliwe i fala niepokornych włosów. Bogactwo psychologiczne, nie tajone, jakby celowe, bez obłudy pokazujące szaloną naturę. Czy zawsze szalona? Jeśli tak, dlaczego artysta chciał zobaczyć tylko cień swojej postaci na pniu drzewa?

Czas bezlitośnie gna w przyszłość, nie zawsze goi rany...

IWONA PERYT



Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ



KONTRASTY

Czesław Luniewicz, członek Związku Polskich Artystów Fotografików, przed 30 laty na trwałe związał się z Zieloną Górą. Dotąd był znany jako autor doskonałych zdjęć, zamieszczanych głównie w „Nadodrze” i jako twórca wystaw: „Przemijanie” (1976), „Ontogeneza” (1977), „Michał Kaziów” (1978), „Klem” (1980), „Gwizdała” (1982), „Moje miasto” (1984). Z aparatem fotograficznym towarzyszył wszystkim festiwalom, inauguracjom, ekspozycjom, które mają miejsce w Zielonej Górze. Choć o sobie mówi: Ja nie robię fotografii po to, aby cokolwiek ocalić od zapomnienia, jest doskonałym fotoreporterem, obecnym wszędzie tam, gdzie dzieje się coś ważnego. Potwierdziła to ubiegłoroczna wystawa w Muzeum Ziemi Lubuskiej, której otwarcie zbliżyło się do 40 rocznicy powrotu Zielonej Góry do Macierzy. Ekspozycja pt. „Moje miasto” to kronika przemian, jakie w ciągu powojennych lat nastąpiły w stolicy środkowopolskiej Nadodrze. Cz. Luniewicz pokazał rozwój Zielonej Góry, poczynając od centrum, a kończąc na obrzeżach, czyli na kisielińskiej dzielnicy mieszkaniowej. Luniewicz, mieszkaniec starej części miasta, posiadający pracownię przy ratuszu, utrwalił wszystko, co jest wokół niego. Uczył się to trochę okazjonalnie, retuszując laty odpadającego tynku w wmgieniu okmalowanych secesyjnych kamieniczek. Takie zdjęcia pokazuje się w okolicznościowych albumach. Zobaczyliśmy więc Zieloną Górę parterową, zastaną w 1945 r. Wyburzenia ruder i przypytanie terenów pod nowe budownictwo. Osiedla połudn. — zach. Zielonej Góry w budowie 1960-70, Nową Zieloną Górę 1985, Przebudowane i nowe układy komunikacyjne, Zieleń miejska, rekreacja, winnice. Wystawę obejrzał gospodarze miasta i województwa, byli zadowoleni, dumni ze swoich i mieszkańców miasta osiągnięć. Zaś zielonogórzanie podzielili się na dwie grupy: na tych, którzy z leką w oku wspominali nie istniejące już budynki, ogrody, place i ulice i na tych, którzy pytali, dlaczego fotografik nie pokazał całej prawdy o mieście, czyli zaniedbanych zaułków, ruder, uschniętych drzew, twarży zmęczonych ludzi.

W tym roku, podczas Dni Zielonej Góry — „Winobrania”, nastąpiło otwarcie wystawy pt. „Moje miasto. Kontrasty”. Jest to ta sama ekspozycja, która ponad rok wypełniała dwie sale w Muzeum, a jednak inna. Poeta, gdy kocha kobietę, lub miasto, pisze im wiersz, malarz robi portret, lub widok, literat poświęca powieść lub opowiada-

nie — powiada Czesław Luniewicz — Ja kochając moje miasto, często pokazuję nie jego dobrą twarz, nie jego piękno, ale to, co je niszczy, to, co nie przysparza mu chwały, to, co mnie w nim boli. Cz. Luniewicz wie, że nigdy nie miał dwu twarzy, że mówi tylko o tym, co go gnębi i nie pozwala mu zasnąć spokojnie. Tacy ludzie nie mogą liczyć na poparcie władzy, jaka by ona była, tacy ludzie muszą mieć wrogów. Luniewicz ma ich wielu, w ratuszu i pomiędzy fotografikami. Ci pierwsi zmieniają się; ci drudzy są pamiętliwi, ale nie mogą powiedzieć, że Luniewicz jest lizusem, wazeliniarzem, że je z dwu stron. Czesław Luniewicz jest tylko Czesławem Luniewiczem.

W centrum drugiej sali na dwu planach artysta zgromadził tyle fotografii, że starczyłoby ich na ogromną ekspozycję. Zdjęcia przy zdjęciu tworzą zaułek staromiejski. Patrząc z nich blaknące oczy staruszek bezczynnych, o twarzach pomietanych, poornych. Przy nich bawią się bez troski dzieci, umorusane; bawią się nie w kierowców czy elektroników, lecz w wozaków, stolarzy, szewców; bawią się nie na wybetonowanych placach, ale między chaszciami wyższymi niż one, zrywają grona dzikiego bzu. Nad nimi suszy się bielizna, polatana, lecz pachnąca nieskazitelną bielą. Za sobą dzieci mają klatki z królikami, chlewiki, kurniki. W oddali stoi volkswagen czy ford, na który tylko w samo południe przez moment padnie jeden promyk słońca. Można mieć za złe Cz. Luniewiczowi, że odważył się pokazać to, o czym wiedzą wszyscy, lecz nie mówią głośno, ale nie wolno przejść obok tego obojętnie. Wszystkie miasta, na Zachodzie i Wschodzie, mają zaułki, których nie zjarła nowoczesność. Żyje się tam na pewno trudniej, ale czy smutniej? Cóż warta byłaby Zielona Góra bez ulic Krawieckiej, Licealnej, Drzewnej, Ciesielskiej, Jedności Robotniczej! Pewnie, wjadą tam kiedyś buldożery, zrównają z ziemią te obłazły z tynku, liszawate, pochylone domy. Potem wielkie dźwigi ustawia płyty żelbetowe, niby pudełka zapalek, wprowadza się młodzi ludzie i będzie city. Tak jest los wszystkich starych.

Wystawę „Moje miasto. Kontrasty” powinni obejrzać przede wszystkim ludzie odpowiedzialni za estetykę miasta, odbudowę jego zabudów, radni, prezydent i wiceprezydenci. Czesławowi Luniewiczowi znowu przybędzie wrogów.

ALFRED SIATECKI



POŻEGNALNY TOM MIRONA BIAŁOSZEWSKIEGO

Zwoennicy twórczości Mirona Białoszewskiego z uwagą sięgną po ostatni (po śmierci wydany) tomik, by przekonać się, czy ich oczekiwania względem cenionego poety potwierdzą się, innych być może zaintryguje wiele zagadkowi tytuł. Pierwsze przekartkowanie zbioru „Oho” pozwala usunąć zbędną ekscytację czytelnika. Spotykamy tu bowiem teksty już znane, publikowane w zbiorze „Stara proza. Nowe wiersze” (1984). Obok nich cykle utworów, w których odpowiadamy wątki wcześniej przez autora podejmowane. Jest również owo często poszukiwane „nowe”, choć — jak się okazuje — także z rozpoznawalną metryką.

Otwiera tom blok krótkich liryków opatrzonego wymownym tytułem: „Nowa wiosenna słabość”, czyli wiersze „antywiosenne”. Bohater głośnego i poetyckiego „Zawalu”, paru innych „kawalków” późniejszych „poezjopróz” — (by wspomnieć o „Dniu gniewnym” w „Szumach, ślepiach, ciągach”, czy cyklu „Letnich sił” w „Odczepić się”) i tu niemal przymuszony zostaje do gorzkiego, chorobowego wyznania. Sytuacja, w jakiej się znalazł, (który to już raz?) nie pozwala na przemilczenie, odsunięcie, czy wręcz zbagatelizowanie problemu. A zaczyna — wydawałoby się — przymilnie: „Kochacie siebie na wiosnę / bo ja nie”, nawet żartobliwie: „Za wiosennym podmuchem / poczułem się pół-duchem / pół-dupem”, z pewną liryką: „wiosna jasna jak cholera / działa na mnie katrupięco”, by wreszcie orzec smutno, rezygnacyjnie: „zimny nie lubię / wiosny nie lubię / po co mnie je szcze / trzyma na czubie / moja gołąb?”. Nieprzychylności czasu w wymiarze pojedynczej, jednostkowej egzystencji (ta najlepiej „sprawdzona sobą”, doskwiera jąca z upływem lat) specyficznie zobaczona zostaje przez Białoszewskiego w tym właśnie cyklu: „czas, wieczność bezstronna / nie ma nic do rzeczy / w jednym człowieku / lubi się wieczność / a między dwoma przez wieki / może za- / ulgi tutaj nowej poetyckiej „obróbec”.

hamować się / ta sama chwila”. Fenomen czasu, jego natury interesował poetę od dawna, dawał temu wyraz zarówno w utworach wczesniejszych, jak i tych z końca lat siedemdziesiątych.

W tomie „Odczepić się” czytamy: „A to i tak taka wieczność / nawet jeśli nie taka / a wieczna wieczność / to i ona ma podszewkę / i ona się wywróci / i zjedzie”. „Wiosenna słabość” — jak określa swą niedyspozycję autor — okazała się mieć znaczenie dłuższy żywot, przetrzaskując się w stan „wiecznego” — tym razem — niedomagania, zagrożenia życia. Kolejny pobyt w szpitalu, operacja, „leżenie”, znajdują swój wyraz w obszernym dziennikowym cyklu pt. „Spotkania z nożem”, czy w zbliżonym klimatem „ciągu” wierszy „Podstarzałość”, „Ja i wczasy na leżaku”. Obawy, niepokój, domysły — przybierają tu osobliwie kształty wahania nastroju, samopoczucia: od paraliżującego strachu po nadzieję, od całkowitej apatii po ożywienie. Ta codzienna huśtawka towarzyszy nie tylko głównemu bohaterowi (pacjentowi Białoszewskiemu), ale stanowi rys charakterystyczny także tych, z którymi przymus choroby go zetknął. Chwile najczarniejsze to te, które nadchodzą tuż po zabiegu: „...tę przetrwać w byciu / opłacałoby się / lepszym zastrzykiem / wydłużyć w niebycie, które i tak czeka po przeszłach, / ta tu taka okazja / szkoda”. Nowe pooperacyjne nowiklanie nie pozwala odpędzić przykrych myśli: „wraca zapalenie, zmęczenie, / noc gorączki / słono / wyjść z siebie / wyjść / na nieścisłość — ej, chciałby pan, panie Mironie, tak latwo...”. Iż w tych ostat nich spostrzeżeniach prawdy, tej która „objawiona” jakby na nowo, skłania i nas samych do tych najtrudniejszych i zarazem najbardziej ludzkich refleksji.

W nowym tomie nie zabrakło tematów, z upodobaniem wyszukiwanych przez poetę od dłuższego czasu. Podmiejskie „wypady” do „wiosny” — na jawie i we śnie zyskały sobie stałe miejsce w artystycznej kreacji; przypominał również dawno przezeń przyrzucony gatunek (jakim podbił wyobraźnię swych czytelników w „Obrotach rzeczy”) — mianowicie balladę. Te ostatnie (bo jest ich kilka), choć w nich nie przypominają fascynacji z okresu debiutu, zachowały swój niepowtarzalny, zawsze zaskakujący nieokreślony klimat, sprawność liryczno-epickiej narracji, niekiedy pełen uroku humor („Ballada o piramidzie”). Z kolei utwory zatytułowane: „Wypisy z morza” plectują swą przynależność do obecnego w ostatnich latach tej twórczości motywu — nazwijmy go — podróźniczego. Opisane w drobniogłowy sposób wrażenia z rejsu „Batorym” / zob. prozę „Obmąpywanie Europy, czyli dziennik okrętowy”, „Twórczość” 1983, nr 9 / a między dwoma przez wieki / może za- / ulgi tutaj nowej poetyckiej „obróbec”.

Dzięki temu otrzymaliśmy wiersze, będące swoistą kwintesencją morskich „doświadczeń”. Białoszewskiego. Nie trudno się domyślić, iż jest to widzenie — jak zawsze u tego autora — specyficzne, burzące stereotyp, do jakiego przywykliśmy w tradycji literackiej, nie zabrakło też tak typowego dla jego „odkrywania” świata sceptycyzmu, ironii: „Siedzę na morzu. / Rozdzielam środek od nieskończoności. / Porywam / Bycia białą niebuciami. / Tym czasem jest odwrotnie / i wcale”. („Wypis IV”).

Na prawach swoistej kontynuacji pojawia się znów „Kabaret Kici Koci” — tym razem główna bohaterka (a także inne postacie) uwikłane zostały w znacznie poważniejsze perypetie, niż to można śledzić w tomiku „Rozkurz”. Polska rzeczywistość (społeczno-polityczna) na początku lat osiemdziesiątych przeniknęła do kabaretowego scenariusza na swoistych prawach. Wielokrotnie staje się znakiem sytuacji przytłaczających „tu i teraz”, to znów uciekając do pewnych analogii przenosi ich znaczenie na fakty, czy reakcje wcześniej już w naszych dziejach obecne. Groteska (ta z ducha „Zielonej Góry” Gałczyńskiego) — organizuje również świat „teatrzyku” Białoszewskiego, obejmując niemal wszystkie jego płaszczyzny: od konstrukcji sytuacji począwszy, poprzez konstrukcję postaci, a na warstwie językowo-stylistycznej kończąc. (Wystarczy sięgnąć po kapitalne scenki: „Strajk”, „Głowa na szyi”, „Wybuch stanu”, „Bohaterka”, „3 Maj” czy „Pastelnica 1982”). Kabaretowa formuła okazała się niezwykle pojemną (a co najważniejsze) funkcjonalną — w mowie o tych problemach, dla których nie sposób znaleźć jednoznacznej kwalifikacji. Ten znakomity tekst — kto wie czy nie najciekawszy w tym zbiorze — pozwoli na prześledzenie myślowych niespodzianek, tę z rzędu intymnych zachował autor na finał. Oto sam Mistrz Miron zmuszony zostaje do udzielenia wywiadu niedoświadczonemu reporterowi. Tajemnicza „Pani Gość”, której obecność przerwie (i tak krótki) dialog — to Śmierć. Średniowieczna „Rozmowa Mistrza Polikarpa...” ma więc dziśjszą kabaretową replikę:

MISTRZ MIRON:
Juz?
Ipada na dobre /
Iz kieszeni MISTRZA MIRONA wysuwa się chytry kartek /
„Nie kładź mi już niczym więcej być!”
Nareszcie spokój!

Były w twórczości Białoszewskiego jeszcze te słowa, o nich także pamiętałyśmy przy jego lekturze: „Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Życie nie się kończy. Włec jak? Na szczęście nie zawsze się myśli o zakończeniu tego kryptu. Ale kiedy boli, albo łapie słabość, to się myśli!”.

ANNA SWIREK

Miron Białoszewski: Oho, Warszawa 1985, s. 105, zł. 150.

Już nie ma Judymów

Tak się jakoś dzieje, że kultura zainstytucjonalizowana najlepiej się ma od poniedziałku do piątku. Przypomina mi się jeden z letnich dni, kiedy w salo- nie wystawowym na deptaku odbył się wernisaż malarzy Małgorzaty Wojszczyk-Kuźniarowej. Wernisaż niecodzien- ny, bo zaplanowany jako wieczór syryj- ski — z rytuałem zdejmowania butów w progu za symboliczną kreską (obu- wie zostawione za drzwiami salonu chy- ba nie wróciłyby do właścicieli), siada- niem po turecku na dywanach oraz ciału wieczoru — diabelską kawą, pa- rzoną po syryjsku, i ostrą potrawą nie- co przypominającą nasze goląbki. Treś- ci spotkania dopełniła kontemplacja obrazów Kuźniarowej, powstałych pod wpływem jej pobytu w Azji, arabska muzyka, wspomnienia o Syrii snute przez gospodynię i... losowanie akware- li. Dla mnie był to jeden z najpiękniej- szych wieczorów tego roku. Wieczoru powszechnego, piątkowego.

Oczywiście — piąty dzień tygodnia można jeszcze zakończyć w rilmamoni — kwestia gustu. Problem tkwi w czym innym: w owych smutnych dwóch świę- tych dniach, gdy życie, nawet kul- turalne, wycisza się, i w Zielonej Gó- rze nie bardzo jest gdzie wyjść. Można wybierać między kinem a lokalem... w trzech kinach jest właściwie jeden re- pertuar; film odbywa ciekawą wędrów- kę od „Wenus” przez „Nyse” do „Ne- wy”. I w ucieczce przed natrętnymi katekami znać żółtych rzek — dwu- krotnie ogląda się zamek Kwinty i mi-

łość do krokodyla, ale tego od szmarag- du, a nie koszmarnego Edenu.

To dziwne, a może — symptomatycz- ne, lecz pracownicy resortu kultury na- szego miasta, w sobotę lub niedzielę również najchętniej zasiadają w jed- nym z tysięcy dwustu szesnastu kino- wych foteli. Nie ma się czemu dziwić — świadczy to o upodobaniach, wresz- cie przyzwyczajeniu ludzi.

W Zielonej Górze dzieje się dużo do- brego, w tym także w kulturze, ale owych działań, ich otwartości, powsze- chności jest jeszcze mało. Nadzwyczajnie- brakuje możliwości wyboru — miejsc, lokali, imprez. Dlatego sobotnio-nied- zielny „kulturalny oddech” musi się najchętniej ograniczyć do kina.

Nie ma żadnej Adrii, ani tym bardziej Cotton Clubu. Wszystkie nasze lokale to nie to! W takim momencie musi po- wrócić sprawa Palmiarni. Po długim remoncie uroczy obiekt wreszcie stoi i — mimo, że w niedzielne południe bra- kuje już lodów, a około 17 zaczyna się niepotrzebna pauza — czeka na gości. Byłoby ich więcej, gdyby zaistniał od- powiedni magnes, np. deklarowana wio- sną współpraca z kulturalnymi instytu- tami Zielonej Góry doszła do skutku. Winy nie ponosi Palmiarnia, lecz dru- ga strona. Za ustnymi propozycjami nie poszły programy działania, ani — tym bardziej — czyny. Wyjąwszy po- kaz iluzjonistów „Musica viva” oraz przepiękny koncert Chóru Akademickiego z WSP, który miał „poderwać do życia” śmietankę palety zielonogór-

skiej. Teraz w Palmiarni zrobiło się cicho (pomijając dąsingi). Wytworzy- ła się nieczarna sytuacja: brakuje pie- niędzy na propozycje twórców profes- sjonalnych, np. muzyków. Mecenasa oka- zuje się za ubogi i nie może zespołowi kameralnemu wypłacić sumy 70 tysię- cy złotych za występ. Podobnie kosztu- wni są inni artyści, którzy chętnie wy- stąpiliby, ale mają określone stawki. Skonczyły się już czasy Judymów. Wdzięk pani Kochańskiej czy pana Pa- cewicza przy chudym portfelu miejs- kiego wydziału kultury nie na wiele w- tej sprawie się zda. Może więc przy- pomnieć sobie o często bezdomnym, rzadko oglądanym ruchu amatorskim? Przecież nie trzeba aż — festynu lub okragłej rocznicy, by mogli zatańczyć „Maki”, „Saga” (jest to zawsze możli- we technicznie, zważywszy na wielkość Palmiarni), mogliby się pokazać zespół „Spektrum” czy „Grupa Rogala” (ta ostatnia z dobrymi recenzjami po festi- walu muzyki country w Mrągowie). Gdyby jeszcze pomyśleć o konkursach recytatorskich, piosenkarckich, studen- ckich wieczorach, poezji itp. — utwo- rzyłby się zapewne ciekawy terminarz imprez na wiele niedziel. Dodajmy — niedziel niebanalnych.

Podobno niedługo w Palmiarni stan- ie fortepian. A może wtedy należało- by się zwrócić do słuchaczy wychowa- nia muzycznego, by nasze wieczory- uprzyjemnił muzyką. To powinno być naturalne: lampka wina pita wśród tr- pikalnej zieleni. I tony Scarlatti. Te- byłby nowy motyw, inne zaproszenie do spędzenia czasu. Może konkurencja dla kina i jeszcze jedna możliwość wyboru? Przecież skończyły się czasy Judymów w kulturze.

MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

czycielkę szkoły w Drzonowie — Zofię Niedzwiecką. Skład zespołu tworzą: Justyna Dubicka, Marian Gawroński, Piotr Janowski, Anna Jasinska, Kami- la Chondzyska, Małgorzata Kulas, Ag- nieszka Janowska i Agnieszka Kołtu- cha. Przy okazji wspomnieć warto, iż Iwo- na i Piotr Janowscy otrzymali wyróż- nienia w konkursie wojewódzkim, ogło- szonym pod hasłem: „Gdybyśmy był pi- sarzem i malarzem” za prace plastycz- ne, związane tematycznie z Letnicą.

W tym roku w świdnickiej gminie od- bywał się konkurs pod nazwą „Turniej sołectw”. Nie zabrakło w nim udziału młodzieży z Letnicy. Turniej został wy- grany, puchar zdobył wójt klubu.

Najwięcej uwagi poświęca się pracy z dziećmi. Te, które z różnych przy- czyn nie wyjechały w letnie na obozy- czy kolonie, były objęte opieką. W klu- bie malują i rysują pod opieką star- szych działaczy, chodzą na wycieczki, poznają uroki przyrody. Do klubu przy- chodzi też nie tylko młodzież, ale i star- si wiekiem mieszkańcy wsi, aby obej- rzec film, wysłuchać prelekcji, obejrzeć występy artystyczne, sprawozdanych z Zielonej Góry, zespołów.

A oto co, na zakończenie mojego po- bytu w klubie, mówi jego gospodyni — Bogumiła Janowska: — Po remon- cie napracowałam się wiele przy pra- cach porządkowych, choć także pomaga- ła mi młodzież, za co im jestem bar- dzo wdzięczna. Ale najważniejsze, że mamy już to, o co nam najbardziej chodziło: ciepło z centralnego ogrzewa- nia...

ZENON CZARNECKI

CHOSZCZNO. Od trzech lat miasto to- zajmuje najwyższe miejsca w krajo- wym konkursie o tytuł „Mistrza gos- podarłości”. W podziękowaniu za spo- łeczny wysiłek gospodarze miasta i gminy zorganizowali bogate Dni Chos- czna, dedykując wszystko, co się dzia- ło na scenach domu kultury, w salach- wystawowych i na ulicach, ludziom- ofiarnej pracy. Wystąpiły więc kabare- ty, zespoły muzyczne, folklorystyczne, taneczne, z kraju i zagranicy. Ogłoszo- no wyniki konkursów — plastycznego- na „Panoramę Choszczną” i fotografi- cznego. Choszczeńskie Towarzystwo Kul- tury odbyło swój sejmik, zaś młodzież zorganizowała wielki festyn.

STRZELCE KRAJ. Z okazji 700-lecia- miasta przedsiębiorstwa handlowe zo- rganizowały wielki jarmark. Na estra- dach prezentowały się zespoły arty- styczne ze Szczecina, Poznania i Nowe- go Tomyśla. Wiele imprez przygotowa- ły strzelecko-krajeńskie placówki kul- tury. Jarmark 700-lecia zorganizowano- we współpracy z pobliskimi instytucja- mi kultury Choszczna.

MYSLIBÓRZ. Czytelnicy „Ziemi Go- rzowskiej” i „Gazety Lubuskiej” spotka- li się na wielkim festynie prasowym. Organizatorzy — Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy w Zielonej Górze i- Wojewódzki Dom Kultury w Gorzowie- oraz mysliborskie placówki kulturalne — przygotowali turnieje, pokazy medalii, kiermasz książek, występy zespołów ar- tystycznych. Największą popularnością cieszyły się koncerty w wykonaniu uczest- ników XII Międzynarodowego Festiwalu Zespołów Pieśni i Tańca, który odbywał- się w Zielonej Górze.

GORZÓW. Podobny festyn prasowy odbywał się w stolicy regionu. Dokonano- szerokiej prezentacji amatorskiego i zawodowego ruchu artystycznego. Od pew- nego czasu często w Gorzowskim występują soliści i orkiestra Filharmonii Zie- lonogórskiej. Liczymy na to, że prezentacja- wzajemnych osiągnięć obu lubuskie- województw będzie częstsza i nie tylko przy okazji świąt.

★ Jak informowaliśmy, 60 rocznicę swo- ich urodzin obchodził Zdzisław Moraw- ski — pisarz, poeta, dramaturg, eseista i- publicysta, działacz społeczny, laureat- nagrody naszego pisma, od ponad 30 lat- mieszkający w Gorzowie. Obecnie Z. Morawski jest przewodniczącym Komisji Rewizyjnej Związku Literatów Pol- skich. Z okazji jubileuszu pisarz otrzymał- wiele listów z życzeniami i gratulacja- mi. Z solenizantem spotkał się wojewoda- gorzowski Stanisław Nowak i sekretarz- KW PZPR Józef Przekwas. Prezes Gorzowskiego Towarzystwa Kultury wicewo- jewoda Mirosław Sopala przekazał jubi- latowi życzenia od społecznego ruchu- kulturalnego, którego Z. Morawski był- jednym z współtwórców na Ziemi Lubu- skiej. I sekretarz KM PZPR i prezydent- miasta Gorzowa skierował do jubi- lata list z serdecznymi życzeniami. Akto- rzy i dyrekcja Teatru im. J. Osterwy, który- wystawiał sztuki Z. Morawskiego, tak- że złożyli pisarzowi gratulacje i życzenia.

★ Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego oraz Zakładowy Dom Kultury „ChemiK” byli organizatorami Jarmarku- Hawelańskiego, na który przybyło- wielu przedstawicieli handlu z całego- kraju. Do dyspozycji kupujących było 120- stoisk różnych branż. Wpływy z opłat od- kramarzy zasilają Miejski Fundusz Roz- woju Kultury.

★ W dużej sali Biura Wystaw Artystycznych jest czynna ósma wystawa tkaniny- artystycznej uczestników ubiegłorocznego- pleneru tkackiego. W wystawie biorą- udział artyści m.in. z Gdańska, Krakowa,- Poznania, Zakopanego, Wrocławia, Zie- lonej Góry. Jury pod przewodnictwem- dr Hany Zameckiej z Czechosłowacji nie- przyznało pierwszej nagrody. Dwie dru- gie otrzymały: Krystyna Dyrdy-Kortyka- za „Strefy” i Kazimiera Frymark-Błasz- czyk za „Jesień”. Nagrodę trzecią jury- przyznało Małgorzacie Piekarskiej-Nełke- za „Wielkie pranie”. Po otwarciu wysta- wy artystki wyjechały do Lubniewic, gdzie- rozpoczął się kolejny plener tkacki. Współorganizatorem pleneru są Zakłady- Włókn Chemicznych „Stilon”. Wśród- 30 uczestników pleneru znajdują się- przedstawiciele Meksyku.

ZIELONA GÓRA. 13 października 1961 r. Zarząd Główny Związku Literatów Pol- skich podjął decyzję o powołaniu w Zie- lonej Górze oddziału ZLP. Z okazji jubi- leuszu odbywają się imprezy literackie; zainaugurował je wieczór poetycki w Klu- bie Międzynarodowej Prasy i Książki w- Zielonej Górze, w którym uczestniczyli- członkowie ZLP, czytelnicy i poloniści z- WSP. Podczas spotkania artyści czyta- li wiersze Czesława Sobkowiaka. O twórczości- poety, krytyka literackiego i działa- cza społecznego, jakim jest Cz. Sobkowiak,- mówił red. Czesław Markiewicz.

★ Zarząd Oddziału ZLP i Lubuskie To- warzystwo Kultury powołał nowy Klub- Literacki. Na zebranie organizacyjne przy- było 37 osób z Zielonej Góry, Nowej- Soli i Świebodzina. Prezesem został wy- brany poeta Jerzy Przybecki.

★ Podczas zebrania grupy inicjatywnej- dokonano wyboru tymczasowego zarzą- du Zielonogórskiego Robotniczego Sto- warzystwa Twórców Kultury. Funkcję- przewodniczącego zarządu powierzono- Franciszkowi Tonderowi z Zielonej Gó- ry, autorem wspomnień i opowiadań- drukowanych w prasie. Siedzibą ZRSTK- jest dom kultury „Zastal”.

ŁĘKNICA. Miejska Biblioteka Publiczna- posiada księgozbiór liczący 13 tysięcy- tomów. W ponad 2-tysięcznej Łęknicy- 393 osoby korzystają z czasopism i książek- zgromadzonych w księgarni miejskiej, co- stawia miasteczko wśród najbardziej- rozczynanych na Ziemi Lubuskiej. W tym- roku Miejska Rada Narodowa na zakup- książek przeznaczyła 160 tysięcy zło- tych; potrzeby biblioteki są o wiele więk- sze.

BOLESŁAWIEC. Od ponad 20 lat placów- ki kultury i zakłady pracy organizują- plenery ceramiczne. Tegoroczny plener- „Rzeźba dla architektury — humanizacja- otoczenia człowieka” odbywa się w za- kładach ceramicznych „Bolesławiec”, a tak- że w Żelazicy i Wrocławiu. Wśród uczest- ników pleneru jest m.in. artysta rzeźbiarz- Henryk Gawanowski z Sulechowa. Plon- pracy ceramików będzie eksponowany- w blurach wystaw artystycznych Jeleniej- Góry, Wrocławia, Warszawy i Bolesła- wca.

ZAPROSILI NAS: Muzeum Karykatury w- Warszawie na otwarcie wystawy „Współczesna Japonia w rysunku karyka- turzystów japońskich”; Gorzowskie To- warzystwo Kultury na IV Sejmik To- warzystwa Kultury województwa gorzowskie- go; rektor i senat Wyższej Szkoły Inżynierskiej oraz rektor i senat Wyższej Szko- ly Pedagogicznej w Zielonej Górze na- uroczystości inauguracji roku akademickiego 1986/87; Krajowe Biuro Koncertowe- w Warszawie na „Tydzień talentów” do- Tarnowa; Zagański Pałac Kultury na- otwarcie Klubu Minikomputerowego; dyrekcja i zespół Teatru im. Juliusza Osterwy- w Gorzowie na przedstawienie sztuki „Iwona, księżniczka Burgunda”; Biuro Wystaw Artystycznych w Zielonej- Górze na otwarcie wystawy malarstwa M.S. Nomury z Japonii; Estrada Ziemi- Lubuskiej na przedstawienie „Barona Cygańskiego”; prezydium wojewódzkich- instancji ZSL i SD w Zielonej Górze na- swoje obrady; Rada Pedagogiczna Zespo- lu Szkół Mechanicznych w Zaganiu na- uroczystość 40-lecia Zespołu; Klub Mię- dzynarodowej Prasy i Książki w Zielonej- Górze na otwarcie wystawy rysunków- Zbigniewa Jaworskiego pt. „Piękno historycznej architektury woj. zielonogór- skiego”; Wojewódzki Komitet Pokoju w- Zielonej Górze na wykład kmr. Henryka- Kalinowskiego „Istota współczesnej wojny”; Wojewódzki Związek Rolników, Kó- łek i Organizacji Rolniczych w Zielonej- Górze na konferencję prasową. Dziękujemy.

Adres redakcji: 65-001 Zielona Góra 91- Bohaterów Stalingradu 13 I p. oraz adres- dla korespondencji 65-006 Zielona Góra skry- ka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor: na- czelny i sekretariat 468-35, sekretariat redak- cji 39-13 oraz centrala 45-51, do i bez te- lefonu wewnętrznie Telex 043258.

Redakcja zespołu: Halina Aśka-Skarbek, Lu- cyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red- graw. techn.), Michał Horowicz, Janusz Ko- nusz (red. naczelny) Małgorzata Kowalska- Masłowska (statystka), Zenon Łukaszko

„NADODRZE” 5.X — 16.X 1986; ROK XXX; 20 (625)



Wielki festyn prasowy odbywał się w stolicy regionu. Dokonano szerokiej prezentacji amatorskiego i zawodowego ruchu artystycznego. Od pewnego czasu często w Gorzowskim występują soliści i orkiestra Filharmonii Zielonogórskiej. Liczymy na to, że prezentacja wzajemnych osiągnięć obu lubuskie województw będzie częstsza i nie tylko przy okazji świąt.

★ Jak informowaliśmy, 60 rocznicę swoich urodzin obchodził Zdzisław Morawski — pisarz, poeta, dramaturg, eseista i publicysta, działacz społeczny, laureat nagrody naszego pisma, od ponad 30 lat mieszkający w Gorzowie. Obecnie Z. Morawski jest przewodniczącym Komisji Rewizyjnej Związku Literatów Polskich. Z okazji jubileuszu pisarz otrzymał wiele listów z życzeniami i gratulacjami. Z solenizantem spotkał się wojewoda gorzowski Stanisław Nowak i sekretarz KW PZPR Józef Przekwas. Prezes Gorzowskiego Towarzystwa Kultury wicewojewoda Mirosław Sopala przekazał jubi- latowi życzenia od społecznego ruchu kulturalnego, którego Z. Morawski był jednym z współtwórców na Ziemi Lubuskiej. I sekretarz KM PZPR i prezydent miasta Gorzowa skierował do jubi- lata list z serdecznymi życzeniami. Akto- rzy i dyrekcja Teatru im. J. Osterwy, który wystawiał sztuki Z. Morawskiego, tak- że złożyli pisarzowi gratulacje i życzenia.

★ Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego oraz Zakładowy Dom Kultury „ChemiK” byli organizatorami Jarmarku Hawelańskiego, na który przybyło wielu przedstawicieli handlu z całego kraju. Do dyspozycji kupujących było 120 stoisk różnych branż. Wpływy z opłat od kramarzy zasilają Miejski Fundusz Rozwoju Kultury.

★ W dużej sali Biura Wystaw Artystycznych jest czynna ósma wystawa tkaniny artystycznej uczestników ubiegłorocznego pleneru tkackiego. W wystawie biorą udział artyści m.in. z Gdańska, Krakowa, Poznania, Zakopanego, Wrocławia, Zielonej Góry. Jury pod przewodnictwem dr Hany Zameckiej z Czechosłowacji nie przyznało pierwszej nagrody. Dwie drugie otrzymały: Krystyna Dyrdy-Kortyka za „Strefy” i Kazimiera Frymark-Błaszczyk za „Jesień”. Nagrodę trzecią jury przyznało Małgorzacie Piekarskiej-Nełke za „Wielkie pranie”. Po otwarciu wystawy artystki wyjechały do Lubniewic, gdzie rozpoczął się kolejny plener tkacki. Współorganizatorem pleneru są Zakłady Włókn Chemicznych „Stilon”. Wśród 30 uczestników pleneru znajdują się przedstawiciele Meksyku.

ZIELONA GÓRA. 13 października 1961 r. Zarząd Główny Związku Literatów Pol- skich podjął decyzję o powołaniu w Zie- lonej Górze oddziału ZLP. Z okazji jubi- leuszu odbywają się imprezy literackie; zainaugurował je wieczór poetycki w Klu- bie Międzynarodowej Prasy i Książki w- Zielonej Górze, w którym uczestniczyli- członkowie ZLP, czytelnicy i poloniści z- WSP. Podczas spotkania artyści czyta- li wiersze Czesława Sobkowiaka. O twórczości- poety, krytyka literackiego i działa- cza społecznego, jakim jest Cz. Sobkowiak, mówił red. Czesław Markiewicz.

★ Zarząd Oddziału ZLP i Lubuskie To- warzystwo Kultury powołał nowy Klub- Literacki. Na zebranie organizacyjne przy- było 37 osób z Zielonej Góry, Nowej- Soli i Świebodzina. Prezesem został wy- brany poeta Jerzy Przybecki.

★ Podczas zebrania grupy inicjatywnej- dokonano wyboru tymczasowego zarzą- du Zielonogórskiego Robotniczego Sto- warzystwa Twórców Kultury. Funkcję- przewodniczącego zarządu powierzono- Franciszkowi Tonderowi z Zielonej Gó- ry, autorem wspomnień i opowiadań- drukowanych w prasie. Siedzibą ZRSTK- jest dom kultury „Zastal”.

ŁĘKNICA. Miejska Biblioteka Publiczna- posiada księgozbiór liczący 13 tysięcy- tomów. W ponad 2-tysięcznej Łęknicy- 393 osoby korzystają z czasopism i książek- zgromadzonych w księgarni miejskiej, co- stawia miasteczko wśród najbardziej- rozczynanych na Ziemi Lubuskiej. W tym- roku Miejska Rada Narodowa na zakup- książek przeznaczyła 160 tysięcy zło- tych; potrzeby biblioteki są o wiele więk- sze.

BOLESŁAWIEC. Od ponad 20 lat placów- ki kultury i zakłady pracy organizują- plenery ceramiczne. Tegoroczny plener- „Rzeźba dla architektury — humanizacja- otoczenia człowieka” odbywa się w za- kładach ceramicznych „Bolesławiec”, a tak- że w Żelazicy i Wrocławiu. Wśród uczest- ników pleneru jest m.in. artysta rzeźbiarz- Henryk Gawanowski z Sulechowa. Plon- pracy ceramików będzie eksponowany- w blurach wystaw artystycznych Jeleniej- Góry, Wrocławia, Warszawy i Bolesła- wca.

ZAPROSILI NAS: Muzeum Karykatury w- Warszawie na otwarcie wystawy „Współczesna Japonia w rysunku karyka- turzystów japońskich”; Gorzowskie To- warzystwo Kultury na IV Sejmik To- warzystwa Kultury województwa gorzowskie- go; rektor i senat Wyższej Szkoły Inżynierskiej oraz rektor i senat Wyższej Szko- ly Pedagogicznej w Zielonej Górze na- uroczystości inauguracji roku akademickiego 1986/87; Krajowe Biuro Koncertowe- w Warszawie na „Tydzień talentów” do- Tarnowa; Zagański Pałac Kultury na- otwarcie Klubu Minikomputerowego; dyrekcja i zespół Teatru im. Juliusza Osterwy- w Gorzowie na przedstawienie sztuki „Iwona, księżniczka Burgunda”; Biuro Wystaw Artystycznych w Zielonej- Górze na otwarcie wystawy malarstwa M.S. Nomury z Japonii; Estrada Ziemi- Lubuskiej na przedstawienie „Barona Cygańskiego”; prezydium wojewódzkich- instancji ZSL i SD w Zielonej Górze na- swoje obrady; Rada Pedagogiczna Zespo- lu Szkół Mechanicznych w Zaganiu na- uroczystość 40-lecia Zespołu; Klub Mię- dzynarodowej Prasy i Książki w Zielonej- Górze na otwarcie wystawy rysunków- Zbigniewa Jaworskiego pt. „Piękno historycznej architektury woj. zielonogór- skiego”; Wojewódzki Komitet Pokoju w- Zielonej Górze na wykład kmr. Henryka- Kalinowskiego „Istota współczesnej wojny”; Wojewódzki Związek Rolników, Kó- łek i Organizacji Rolniczych w Zielonej- Górze na konferencję prasową. Dziękujemy.

Adres redakcji: 65-001 Zielona Góra 91- Bohaterów Stalingradu 13 I p. oraz adres- dla korespondencji 65-006 Zielona Góra skry- ka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor: na- czelny i sekretariat 468-35, sekretariat redak- cji 39-13 oraz centrala 45-51, do i bez te- lefonu wewnętrznie Telex 043258.

Redakcja zespołu: Halina Aśka-Skarbek, Lu- cyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red- graw. techn.), Michał Horowicz, Janusz Ko- nusz (red. naczelny) Małgorzata Kowalska- Masłowska (statystka), Zenon Łukaszko

„NADODRZE” 5.X — 16.X 1986; ROK XXX; 20 (625)

KLUBOWE WIZYTOWKI

W nowych warunkach

Półtora roku temu pisałem, że mło- dzież Letnicy ma zamiar zmodernizowa- ć swój klub. Chodziło przede wszyst- kim o zainstalowanie centralnego ogrze- wania, gdyż jedyny kaflowy piec nie mógł ogrzać olbrzymiego pomieszcze- nia, w którym odbywa się cała praca kulturalno-oświatowa. Młodzież zobow- iązała się pomóc społecznie w wyko- naniu wielu prostych prac, poza tak- fachowymi jak spawanie, podłączenie- rur i kaloryferów.

Wówczas też zastanawiano się, skąd- uzyskać pieniądze na zakup niezbęd- nych materiałów. Ostatecznie, w wyni- ku starań pieniędzy nie znalazły. Samo- rząd wiejski Letnicy wyasygnował na- ten cel 100 tys. zł, tyle samo uzyskano- z Urzędu Gminy w Świdnicy. Wartość- prac społecznych wyceniono na około- 400 tys. zł. I dziś klub ten wygląda zu- pełnie inaczej, bo oprócz założonego- centralnego ogrzewania, zmieniło się- również jego wnętrze. Zrobiono tu wie- le. Obecnie są specjalne urządzenia dys- kotekowe, świetlne i akustyczne, jest- estetyczna osłona sufitu, wykonana z- płyt steropianowych, jest wreszcie ste- rownia muzyczna i bardzo dużo kwia- tów.

Wśród młodych ludzi, którzy podjęli- inicjatywę remontu i modernizacji swe- go klubu, i którzy następnie nie szczę- dził sił i czasu na społeczne prace, są- m.in.: Henryk Pańtak, Mariusz Kluj, Jacek Pańtak, Dariusz Mott, Stanisław- Czaja, Marek Mott. Dodac należy, że- do głównych inicjatorów i wykonaw- ców tego zamysłu należy także sołtys- wsi i mąż gospodyni klubu — Jan Ja- nowski.

Dziś, w nowych warunkach można- kontynuować i rozwijać różne formy- klubowej działalności. Pracuje więc ze- spół „Aerobic”, który odniósł już wie- le sukcesów, nie tylko lokalnych, ale- np. w Dniu Działacza Kultury zaprezen- tował swój program taneczny na uro- czystości w Świdnicy, otrzymując w- nagrodę 5 tys. zł na zakup baletek. Zaś- jedna z dziewcząt sekcji recytatorskiej, Kamila Chondzyska wystąpiła na kon- kursie poezji i prozy Tadeusza Nowa- ka, zorganizowanym w Poznaniu, otrzy- mując dyplom uznania i nagrodę książ- kową.

Rozwija swoją działalność także dzie- cięcy teatrzyk „żywego planu”, prowa- dzony przez animatorkę kultury, nau-

Purpurowe miasto

prezentowano monumentalną bramę- Wumen, zwaną także Wieżą Pięciu- Feniksów, główne wejście do Zaka- zanego Miasta. Dolna część bramy jest- zbudowana z cegły i ma wysokość 10- metrów, a na tym wznosi się wieża z- dziesięcioma pomieszczeniami pokry- tą podwójnym dachem z żółtej glazu- ry (Kolor żółty był urzędowym kolo- rem cesarzy chińskich i nikt nie mógł- go używać). Tutaj aż do świtu oczek- iwaliby urzędnicy na audiencje u cesar- za. Po przekroczeniu bramy przecho- dzi się przez 5 mostów wykonanych z- białego marmuru nad Złotym Poto- kiem. Na drugim znaczku pokazane są- 3 pawilony zbudowane na marmuro- wych tarasach, ozdobione reliefami w- drzewie i marmurze, brązami, laką i- polichromią. Kryte są dachami z gla- zurowych żółto-złotych dachówek. Pa- wilony te usytuowano na kwadrato- wym placu, który zamykają cztery- wysokie wieże wartownicze. Główny- pawilon jest najwyższy. Jego dach- wynosi 37,44 m, a wysokość 63,96 m. W Pekinie obowiązywał przepis, że- żaden z budynków nie mógł być wyż- szy od pałacu cesarza. Od tych pawi- lonów prowadziła kamienna zdobiona- smokami Droga Cesarska, którą mógł- chodzić tylko cesarz. Dla niosących w- lektycie cesarza zbudowano po obu- stronach drogi boczne schody. Trze- ci znaczek prezentuje wewnętrzne a- partamenty cesarskie. Są to trzy pa- lace: Qianqinggong (Pałac Niebiańskiej- Czystości) Jiaotaidian (Pałac Styczno- ści Nieba i Ziemi) i Kuuninggang (Pa- lac Ziemijskiego Spokoju). W Pałacu- Niebiańskiej Czystości znajduje się- tron cesarski. Ten pałac, w którym

mieszkał cesarz, symbolizuje Niebo, następny Ziemię, a dwie bramy Słoń- ce i Księżyc. Oznaczało to, że cesarz i- cesarzowa istnieją razem z Niebem, Ziemią, Słońcem i Księżycem i posia- dają ich wielkość. Po lewej i prawej- stronie pałaców znajduje się 6- wschodnich i 6 zachodnich pawilo- nów, w których mieszkali na- bójnicy i damy dworu. Niektóre z- tych pawilonów były wykorzystane ja- ko skarbiec cesarski, lub ołtarze. Wśród zachodnich pawilonów znajdu- je się pawilon Yangxindian, w któ- rym od 1723 r. cesarze zajmowali się- sprawami państwa. Ostatni znaczek- przedstawia pałacowy ogród. Tutaj- rosły wiekowe sosny i cyprysy, a- fontanny i strojne altany tworzą nie- powtarzalny urok.

Purpurowe miasto ma 720.000 m- kw. Na tej powierzchni znajduje się- 9999 różnych pomieszczeń. Kabalistycz- na liczba, która wg chińskiego prze- kazu miała symbolizować wieczność- panowania. Zakazane Miasto otoczo- ne jest trwałą troską ludowego pań- stwa. Nie szczędzi się ani kosztów na- konserwatorską opiekę ani też wysił- ków, aby ten unikalny zespół archi- tektoniczny udostępnić społeczeństwu.

Polscy filatelisci z dużym zaintereso- waniem zbierali znaczki Chińskiej Re- publiki Ludowej. Dziś, kiedy po- nownie normalizują się stosunki han- dlowe między naszymi państwami, oczekiwane należy, że Ars Polona na- wiąże właściwe kontakty i przywró- ci abonament znaczków pocztowych- Chińskiej Republiki Ludowej.

M. SŁAWOMIR

camera filatelistica

Pekin, stolica Chińskiej Republiki- Ludowej, acy blisko 3 tysiące lat. Już- w VIII w. p.n.e. jako Ci był stolicą- państwa Jen, a po jego upadku zwa- no go Jencing. Następnie zmienia na- zwę na Nancing (potudniowa stolica). Spalony w 1215 r. i odbudowany w- latach 1264-1267 przez Kubilaję (wnu- ka Czyngis-chana) nosi nazwę Tatu- wielka stolica) lub Chanbalyk (mie- sto chana). Obecna nazwa Pejcing o- trzymał dopiero w XV w. za panowa- nia dynastii Ming.

Centrum miasta ukształtowane w- XIII-XVI w. tworzy Miasto Wewnętrz- ne otoczone murem oraz Miasto Zew- nętrzne o łącznej powierzchni 80 km- kw. Oba miasta stanowią zaledwie- 0,5 procent ogólnej powierzchni Peki- nu. Z Miasta Zewnętrznego do Mia- sta Wewnętrznego prowadzi od połud- nia brama Cienmen. W Mieście Wew- nętrznym znajduje się Miasto Zakaza- ne — rezydencja cesarska z okresu dy- nastii Juan, Ming i Cing — otoczone- ceglanym murem (stąd nazwa Purpu- rowe Miasto) z czterema bramami i od- dzielone fosą. Budowę Miasta Zakaza- nego rozpoczęto w latach 1403-1424. Służyło ono chińskim cesarzom aż do- 1911 r. t.j. wybuchu rewolucji (W 1912- r. abdykował cesarz Chin Pu I). Od- 1925 r. Miasto Zakazane jest najwię- szym na świecie Muzeum. Tu zgroma- dzone są pamiątki historii i kultury- Chin.

Poczta Chińskiej Republiki Ludo- wej wydała 4 znaczkową serię (8,8,20- i 30 fen) przedstawiającą Miasto Pur- purowe. Na pierwszym znaczku za-

Nieboszczyk drugiej klasy

Poturbowane zwłoki mężczyzny w czarnym garniturze znaleziono na odle dżiu, tuż przy torach kolejowych pod Szczecinem. Takie przypadki się zdarzają i milicja często długo, a czasem bezskutecznie, próbuje zrekonstruować przebieg wypadków, które doprowadziły do tragedii. Historia mężczyzny w czarnym garniturze jest o tyle imponująca, że odbiega od wszelkich schematów i nawet odkrycie faktu, że trup jest efektem mafijnych porachunków byłoby nieczym w porównaniu z rzeczywiście przebiegiem wydarzeń.

Pewien obywatel będąc w podróży służbowej zmarł dość nagle i skutecznie, co nie jest bez znaczenia dla dalszego ciągu opowieści. Mężczyzna miał pecha, że zmarł, a jego żona jeszcze większego, gdyż mąż zrobił to w miejscu odległym od miejsca zamieszkania. Przy bita niespodziewanym ciosem wdowa — do tego sama też słabego zdrowia — nie była w stanie odbyć wyczerpującej podróży w celu przetransportowania zwłok męża. Poprosiła przeto o tę przysługę dwóch kolegów męża, którzy przepracowali z nim wiele lat w jednym zakładzie. Jako, że podróż nieboszczyków są kosztowniejsze od podróży ludzi zdrowych, wdowa zaopatrzyła się

POSTAWY

Wydała mi się, że postępuję normalnie, a część moich bliskich i przyjaciół powiada, iż chyba jestem nie całkiem, jak należy. Mówią: po co zwracać uwagę na wszelkie drobiazgi? Czy się zachowam tak, czy siak, świat będzie szedł swoją drogą. No, ale — raczej należę do tych, co nie lubią, żeby rzeczy toczyły się, jak same chcą, czy jak chce przypadek. I wiem, że nie jest to cecha najbardziej ceniona.

Tylko — nie mogę się opanować w określonych sytuacjach. Jeżeli nie reagowałem, dręczyło mnie sumienie, nie mogłem spać. Ktoś mi bardzo życzliwie powiedział bez ogródek, że znajduję się w stadium ostatnim, bardzo niebezpiecznym...

A jest tak na przykład. Jadę samochodem w chwilę po burzy, po huraganie. Leży gałąź, duży kawał drewna. Widzę przed sobą, że kierowcy tę gałąź wyraźnie omijają zjeżdżając nieomal do rowu. Jeden za drugim, każdy tak samo. Ja — zatrzymuję się przed przeszkodą i usuwam ją z drogi. Nieraz przy odczynie pomocy syna. Potem wszyscy jeżdżą bez kłopotu.

Albo — na jeźdni leżą trzy cegły. Kto powinien je sprzątnąć? Dróżnik? O takiego akurat trudno. Trzeba czekać na ciężarówkę, aż cegły kołami rozniesie. Nie takie ważne, że dla motocyklisty, powiedzmy, miejsce to może okazać się idealne do spotkania ze śmiercią albo przynajmniej z chirurgiem.

Któżby się też zamartwiał ewentual-

MaRGINAŁKI

KTO POD KIM DOŁKI KOPIE... Krakowskie „Życie Literackie” (nr 37) w swym „Żywoćku literackim” pisze m. in.: „Spieszył się Kazimierz Koźniewski, pisząc artykuł o wystawie Kossaków dla „Polityki...”. Specjalna wystawa Kossaków dla redakcji warszawskiego tygodnika, to już chyba zbyt tania przesada.

GDZIE TU LOGIKA? KTT w swej „Kuchni Polskiej” („Polityka” nr 37) za miesiąc felieton pt. „Wydumuszki”. Rozpoczyna go pogodnie: „Kiedy po powrocie z urlopu, który spędziłem beztrudnie, w pełni oderwany od rzeczywistości, za brałem się do wertowania prasy...”. Później w dalszej części tekstu wspomina urlopowe wojaże: „Byłem u „Wierzyńki”. Zaszedłem tam, nie licząc się z kosztami, nie bez powodu, bowiem wyjeżdżając przez Kraków w dalekie okolice strony, przygotowany na oczekujący mnie tam atak konsumpcyjnego stylu życia, chciałem pokazać moim towarzyszom podróży, że „Polacy nie gęsi” i chociaż ogólnie raczej nam się nie wiedzie, to jednak gdzieś tam drzemie dawna świetność i nie ma się czego wstydić. (...) Tymczasem (...) stół na kryty był obrusem ledwie mieszczącym się w granicach tolerancji, kelner zaś najpierw nie przychodził, a potem pomógł dania, przyniósł nie to, o co prosił, plus czerstwe pieczywo, wyrzucił na spódnicę pani ciwierz talerza razem z czymś tłustym nie mówiąc nawet „przepraszam” i podał jedzenie gorzej niż w średniej restauracji II kategorii w Wąchocku, za to rachunek god-

ziwych panów w grubszą gotówkę. Ci, z wyrazem współczucia na twarzach, pieniądze schowali do kieszeni i obiecali wywiązać się ze zlecenia z jak najwięcej zaangażowaniem i delikatnością. I pewnie taki mieli zamiar. Niestety, podróż była rzeczywiście wyczerpująca, a i panowie w drodze nie próżnowali lecz raczej opróżniali. Wysiadając późnym wieczorem w miejscowości, gdzie zginął ich kolega, mieli już solidnie w czubach. Ale ten rodzaj zniechęcenia nie ogranicza chęci do dalszej zabawy. Konwojenci zameldowali się w hotelu i ruszyli w miasto. Noc obfitowała w przyjemne wydarzenia. Za to rano do przyjemnych nie należał — poza bólem głowy mieli niewiele. Pień na transport nieboszczyka rozplynęły się w świetlaku wielkiego miasta. Tak zwany moralniak nie dawał chłopakom spokoju. Słowo dane wdowie po koleżce jest rzeczą świętą. Obiecali, że męża przywieźą, więc słowa dotrzymają.

Wymyślił wariant oszczędnościowy — nieboszczyk pojedzie jako żywy w przedziale wagonu drugiej klasy. Jak postanowili, tak zrobili. Oplacili takсів karzą, który pomógł im przetransportować „pijanego” kolegę na dworzec. W szczęśliwie pustym przedziale usadowili umarłaka przy oknie i okutali mu głowę płaszczem. Dumny z dokonania dzieła ruszyli na wycieczkę po po-

Ryczałt dla frajera

na cudzą rozbityą szybą samochodową. „Może akurat nie będzie to moja szybą”. Właśnie. A jeśli? Wtedy: „Ze też to na mnie akurat przypadło! Diabli nadali!”.

Kiepsko się czuję, gdy z kimś rozmawiam, np. na ulicy, a w bezpośrednim sąsiedztwie święci porzucone opakowanie od papierosów. Co wtedy czynię? Łatwo zgadnąć! Niby dla gimnastyki, dla ruchu, wrzucam to do najbliższego kosza. Spotykałem wówczas niekiedy takie komentarze: „A co robisz służby komunalne? Ty jesteś od tego?”.

Mam też manię gaszenia petów papierosowych. Niekoniecznie dlatego, że by zapobiec wybuchowi ognia, albo że coś akurat samotnie dymi na korytarzu i nie z tego powodu, iż sam nie palę. Właściwie — nie wiem dlaczego... Choroba, dewiacja charakteru?

Niektórzy bliscy i znajomi sobie żartują. „Powinieneś za te narzucone sobie dodatkowe obowiązki dostawać ryczałt. Parę ryczałtów. W każdym razie taki frajer zawsze się przyda”. O, bez wątpienia. To — bezdyskusyjne.

Nie piszę tego, by się chwalić (czym?!). Zresztą, w tej swoistej wrażliwości — absolutnie wierzę w to — nie jestem odosobniony. Nie mówię o tym, aby ko muś wytykać, że jest — taki, jaki jest. Każdy sam coś wie o sobie.

Tylko trudno się oprzeć refleksji, jak by wyglądały nasze posesje, ulice, korytarze instytucji, gdybyśmy od pewnego dnia wszyscy (albo prawie wszyscy) zaczęli podnosić koło siebie zauważone śmieci, zostawione resztki czegoś,

ny tradycji królewskiego bankiera”. Jeśli KTT zniósł to „beztrudnie”, w pełni oderwany od rzeczywistości, to w „Kuchni Polskiej” tym razem przyrządzono sos nie do tej potrawy...

DZIESIĘĆ LAT TEMU. Dziesięć lat temu, tuż przed swoją śmiercią Stanisław Grochowiak pisał w „Miesięczniku Literackim”, (o czym przypomniał najświeższy numer pisma (6) z br.): „Coraz więcej mamy spraw personalnych na łamach naszych pism — ja to mówię z odległości, kiedy przeglądam naszą prasę w głębokiej Puszczy Białej — coraz więcej odcinków, coraz więcej felietonów, a coraz mniej zagadnień zasadniczych”. Wtórnie mu Andrzej Mencwel: „Otoż wydaje mi się, że właśnie nasza świadomość literacka, a zatem i życie literackie, jest zbiorem osobliwych ogródków działkowych, eksploatowanych najczęściej przez spółki z ograniczoną odpowiedzialnością”. Pytanie: co się zmieniło w tym obrazie sprzed laty? — pozostaje bez odpowiedzi.

TRZY LATA TEMU. Trzy lata temu „Miesięcznik Literacki” odnotował rewelacyjną uwagę Zygmunta Trzaski: „Bez wyrażenia zgody na to, że Stachu ra wraz z Białoszewskim i Buczkowskim rozpoczął rewolucję artystyczną w literaturze polskiej trudno o właściwe miejsce dla Stachury w literaturze. Stachura jest w całości twórcą prozy żywej (zapisu języka mówionego) i jako ten pisarz od prozy żywej jest prekursorem i twórcą wybitnym”. Nie pomniejszając rangi tych trzech autorów, warto jednak zastanowić się, czy reszta obszaru polskiej prozy tworzy zapis w języku martwym?

MATERIAŁ DO POWIEŚCI. Pod takim tytułem Emil Biela omawia, tym razem w „Miesięczniku Literackim” (nr 6) nową książkę Zbigniewa Ryndaka. Z tekstu trudno wnioskować, jakie kryteria oceny stosuje recenzent i czy mu

ciągu w poszukiwaniu czegoś na klina. W tym czasie na jednej ze stacji, do przedziału z nieboszczykiem wszedł mężczyzna z ciężką walizką. Na gromkie powitanie pasażer pod oknem z wiadomych względów nie odpowiedział, co mężczyzna z walizką wytłumaczył sobie głębokim snem powitanego. Zaczął się mocować z walizką próbując ułożyć ją nad głową „śpiącego”. W tym momencie pociąg szarpnął, zgryźnął, wagon się zakolysał, a walizka z hukiem i rumorem runęła na ukrytą pod płaszczem głowę. Przerażone oczy niezdary ujrzały osuwające się na podłogę ciało. Mężczyzna wpadł w panikę, czuł się winnym nieumyślnego spowodowania śmierci człowieka. Długo się nie załamując wyrzucił nieboszczyka przez okno. Jeszcze nie zdążył się dobrze usadowić na miejscu, gdy do przedziału powrócił konwojenci zwłok. Brak kolegi mocno ich zaniepokoił. Zwrócili się do nieznanego z prośbą o informację. Blady i roztrzęsiony posiadacz niefortunnej walizki poinformował ich, że „tamten pan wysiadł na poprzedniej stacji”.

Trzej pomysłowi panowie stanęli przed sądem, wdowa znalazła się w szpitalu, a nieboszczyk spoczął wreszcie na swoim miejscu.

PIOTR PIOTROWSKI

trochę za innych również. W przeliczeniu na każdego z nas wypadłoby chyba bardzo niewiele roboty.

A co by się stało, gdybyśmy tak wszyscy nagle przestali beztrudnie rzucać rzeczy nam niepotrzebne, zużyte byle gdzie? Proszę zauważyć: ciskanie niedopałka papierosa, zgniecionego opakowania od papierosów, kuleczki papieru jest zjawiskiem jakże częstym, szczególnie w pobliżu ławek publicznych, przystanków powszechnej komunikacji.

Jak wyglądałoby nasze otoczenie, gdy by w każdym „ruchliwym” miejscu miasta, osady stał kosz na śmieci, a wszystkie ogniwa służb komunalnych i zakładowych w odpowiednim czasie robiły, co do nich należy? Co najmniej: dla wielu obywateli przestali by być bałaganiarzami, a akcja „posesja” przybrałaby postać wstydliwego wspomnienia. Zaś na widok takich nadwrażliwców, jak wyżej przedstawiony, przestano by pukać się w czoło.

Narzekamy nieraz, że tyle niedobrego od nas nie zależy; poprawmy choć to, co od nas na pewno zależy.

STANISŁAW ŚWINIARSKI

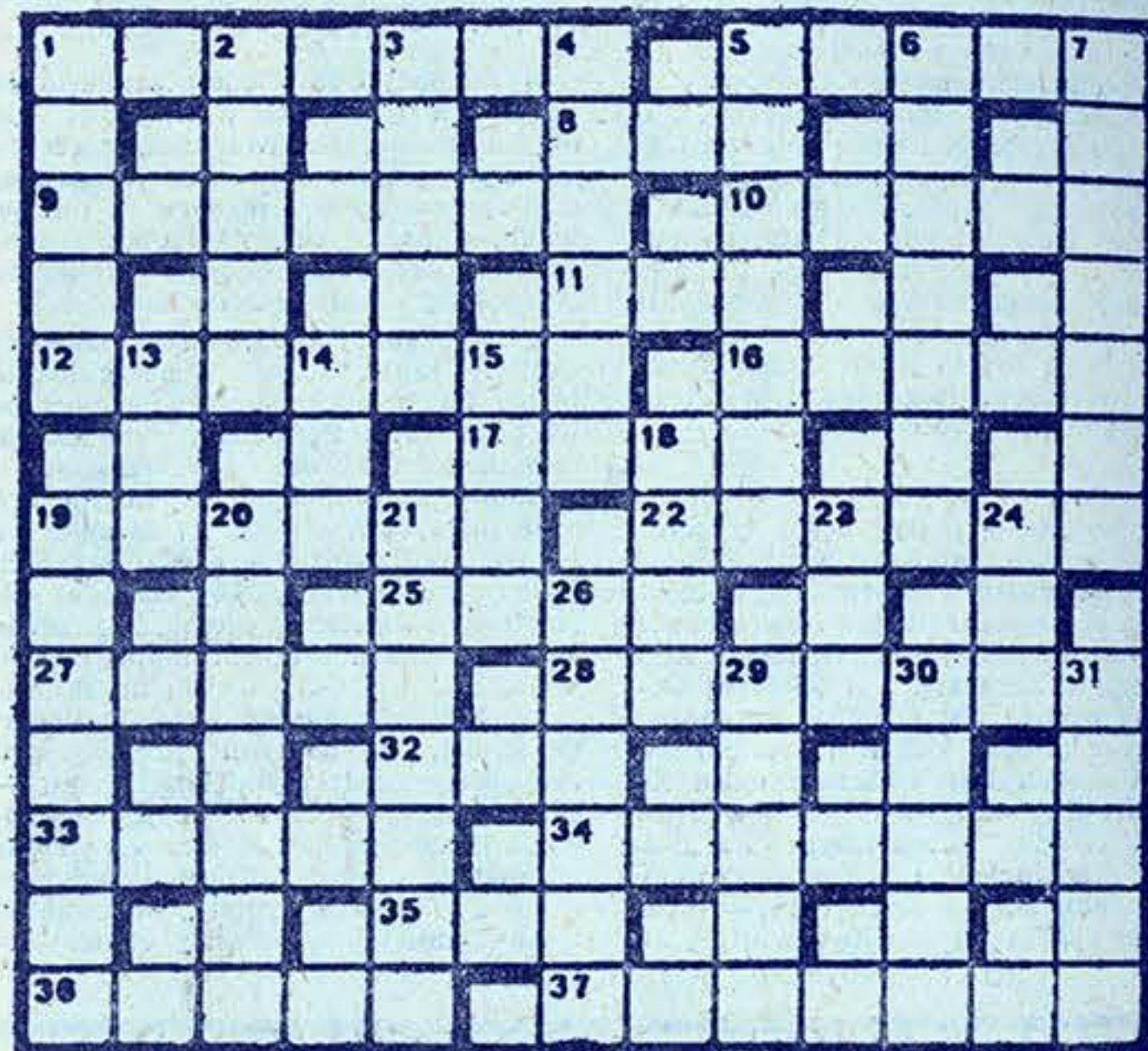
PS. Niektórzy Czytelnicy czują się urażeni moimi felietonami. Kojarzenie określonych treści z konkretnymi osobami znanymi autorowi jest przykrym nieporozumieniem i mija się z zamierzeniami niżej podpisanego.

S. Ś.

nadodrze

Rozrywki umysłowe

Redaguje Zielonogórski Klub Szaradzystów



Krzyżówka

(Oprac.: „STANGAR”)

Poziomo: 1. Głowica, 5. Szczyt w Górach Sw. Eliasza, najwyższy w Kanadzie, 8. Rzeka w ZSRR, prawy dopływ Peczory, 9. Bargiel, 10. Z widownią, 11. Kuzynka rokity, 12. Przywódczyni, 16. Miasto w Normandii, 17. Syn syna, 19. Na końskiej szyi, 22. Miasto w Szkocji, 25. Miejscowość w Piemontcie, 27. Telefoniczny lub obuwia, 28. Uniesienie, 32. Gouda, 33. Mary Ann Evans, 34. Jamochłom, 35. Rycerz, 36. Ręka, 37. Typ aktorki.

Pionowo: 1. Chwast zbożowy, 2. Strona skarżąca, 3. Angielski etnolog i religioznawca (1832—1917), twórca teorii animizmu, 4. Retor i sofista grecki (ok. 120—130 r.), twórca „Dialogów”, 5. Na baterie, 6. Szklivo, 7. Pluskwiać (kojarzy się ze sprzętem zimowym), 13. Pierwiastek chem., 14. Pseudonim literacki Adama Asnyka, 15. Zaczyn, 18. Pełnotłusty śledź, 19. Zeń-szeń, 20. Malaria, 21. Grupa społeczna, 23. Pręt z iberem, 24. Uderzenie, cios, 26. Stopień pisma, 29. Ryba planktoniczna, 30. Obejście, krążanek, 31. Część Talmudu.

Karuzelowy kalambur wspakowy

(Oprac.: „CELESTIAL”)

Grywa rolę w dramatach, kolor w kartach przeplata.

Rebas homonimowy

(Oprac.: „ŚLAWICZ”)

4-wyrazowy, o początkowych literach: W. W. — G. G.



Rozwiązania zadań prosimy nadsyłać na adres redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Na kopercie prosimy nakleić zamieszczony poniżej kupon. Listy z trzema rozwiązaniami wezmą udział w losowaniu nagrody książkowej wartości ok. 300 zł; natomiast pozostałe nie wylosowane rozwiązania wezmą udział — razem z nadesłanymi dwoma rozwiązaniami — w losowaniu dwóch nagród książkowych po ok. 200 zł.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 18:



Prawidłowe hasło brzmi: „Życzymy wspaniałej zabawy w czasie Winobrania”. Nagrody książkowe otrzymają: p. Łukasz Jesse, ul. Sucharskiego 3/2, Zielona Góra; p. Krystyna Pokrzywa, 36-002 Jasionka 53 w woj. rzeszowskim oraz p. Jacek Gromadski, ul. Bystrzycka 34/3, Polanica-Zdrój. Gratulujemy. Nagrody prześlemy pocztą.